Nr. 289. Lwów — Piątek dnia 18 Grudnia. Rok 1903.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k 20 h, w Niemczech . . . . 3 „ — „, w innych Państwach . . 4 „ — „. Za zmianę adresu dopłaca się 40 „. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu. Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h, na prowincyi . . . . 12 h. Numera z poprzednich dni po 20 h.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Dziś: św. Gracyana M. — Sabbasa
Jutro: św. Nemezyusza — Mikołaja

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca o godz. 7 m. 54
Zachód „ „ 4 m. 1

Długość dnia godzin 8 minut 7
Ubyło dnia od wczoraj 0 min.

Exposé hr. Gołuchowskiego.

Wiedeń 17 grudnia. W komisyi dla spraw zagranicznych delegacyi węgierskiej wygłosił wczoraj minister spraw zagranicznych hr. Gołuchowski *exposé* o sytuacyi zagranicznej.

Minister wspomniał najpierw o odnowieniu trójprzymierza, dzięki czemu ponownie ustaliły się stosunki, które tworzą podstawę austryackiej pokojowej polityki i blisko przez ćwierć wieku zapewniały całemu europejskiemu kontynentowi erę spokojnego i obfitego w owoce rozwoju. Rękojmie tego — powiada hr. Gołuchowski — że dalsze istnienie trójprzymierza potrafi także w przyszłości zabezpieczyć w pełnej mierze nasze polityczne interesy, są bardzo poważne, a cenić je tem bardziej należy, że przy równomiernym rozdziale praw i obowiązków zapewniają wszystkim stronom obok popierania wspaniałego dzieła pokoju dostateczną swobodę własnej akcyi, dzięki czemu mogą wszystkie trzy państwa z potrzebnym naciskiem stać na straży i reprezentować specyalne swe interesy. Przeciw słuszności tego rodzaju zapatrywania nic dzisiaj nie da się powiedzieć, a dowodem tego jest owo uczucie zadowolenia, z jakiem przyjęto dość powszechnie wiadomość o dalszem trwaniu naszych stosunków aliansowych.

Co więcej zrozumienie tego doniosłego faktu ujawniło się nawet w tych kołach, które w ostatnich jeszcze czasach były wręcz nieprzychylnie usposobione dla naszych politycznych zapatrywań. Wprawdzie i dziś nie brak przeciwników, ci jednakże są odosobnieni i rekrutują się głównie z ludzi, którzy z zasady wszystko krytykują, lub z żywiołów, które nie cofają się przed rozsiewaniem żadnej choćby nie wiedzieć jak bezmyślnej niedorzeczności, byle tylko prowadzić dalej swoją, opartą na pewnym planie krecią robotę. A chociaż tego rodzaju wybuchy namiętności nie zasługują na to, aby im zbytnią poświęcać uwagę, to przecież godnem jest w każdym razie ubolewania, że tego rodzaju nie narażonym na żadną odpowiedzialność przeciwnikom w obrębie naszego własnego państwa częstokroć pomagają również nie narażone na żadną odpowiedzialność żywioły z zewnątrz, dostarczając im pożądanego i łatwo dającego się zużyć materyału do wszelkiego rodzaju podjudzającej kampanii. Nad takimi zaś faktami tem bardziej należy ubolewać, iż pochodzą one z kraju, z którym — jak np. z Włochami — żyjemy w ścisłym stosunku pokoju i przyjaźni.

Iredentystyczne manifestacye, jakie ujawniają się tam od kilku miesięcy w spotęgowanej mierze, są bezwątpienia objawami, nad którymi z pewnością jak najbardziej należy ubolewać i które zasługują na stanowcze potępienie i odparcie. Mniemam jednakże, że pomimo to byłoby to błędnem, gdybyśmy przywiązywali do nich większą wagę, niż do owych pustych demonstracyj, które przedewszystkiem mają na celu sprawiać kłopoty własnemu rządowi. Nie mogę nie podnieść tutaj ze szczególniejszem zadowoleniem i uznaniem tego spokoju i tej zimnej krwi, z jaką u nas zarówno w przeważnej części poważnych dzienników, jakoteż w myślących przedmiotowo politycznych kołach zapatrywano się na tego rodzaju agitacye, a co łącznie z poprawnemi usiłowaniami królewsko-włoskiego rządu, aby położyć zaporę wzmiankowanemu zamętowi, z pewnością najprędzej przyczyni się do uzyskania tyle pożądanego otrzeźwienia i ochronienia dobrych stosunków, na których nam zarówno, jak i naszemu sąsiedniemu królestwu musi zależeć, żeby nie zostały poważnie zakłócone.

Następnie mówił hr. Gołuchowski o zadawalającem ukształtowaniu się przyjaznych stosunków Austro-Węgier do państwa rosyjskiego, stosunków, które się stopniowo pogłębiają, a na podstawie których, sądząc z prób, jakie obecnie przechodzą, można mieć wszelką nadzieję, że przyczynią się do powiększenia rękojmi pokoju.

Można już dziś stwierdzić z zadowoleniem, że zupełnie usprawiedliwione były nadzieje, jakie przywiązywano do porozumienia Austryi z Rosyą w r. 1897. Mianowicie zrozumienie, że nie ma żadnego właściwego powodu do polityki nieufności i trwałej nieprzyjaźni, zapuszczało po obu stronach coraz silniejsze korzenie i doprowadziło w ciągu lat do porozumienia pod względem zapatrywania i oceniania niektórych kwestyj, jakie stały się w tym czasie głośnemi, a które w obecnej właśnie chwili ze względu na swoje wydatne wyniki zasługują na szczególniejsze ocenienie.

Nawiązując do tego, omawia „exposé“ obszernie kwestyę bałkańską. Minister kreśli znane zasady, będące przewodnią myślą utrzymania terytoryalnego „status quo“ na półwyspie bałkańskim, ochrony i samoistności, oraz nietykalności poszczególnych państw bałkańskich, wreszcie poszanowania stanu posiadania Turcyi. Poczem tak powiada:

„Gdy w ostatnich miesiącach przeszłego roku ujawniło się niebezpieczne wzburzenie wśród ludności chrześcijańskiej“ pod panowaniem tureckiem, przyczem zachodziła ta okoliczność, iż rząd sułtański, pomimo kilkakrotnych upomnień i wezwań ze strony mocarstw, nie dał się nakłonić do gruntownego przekształcenia swojego, pod każdym względem błędnego i zgubnego systemu administracyjnego — porozumiały się gabinety austro-węgierski i rosyjski, mając na uwadze niebezpieczeństwo, jakie mogłoby wyniknąć z dłuższego biernego ich zachowania się, niemniej w interesie własnego bezpieczeństwa, w drodze najpierw pisemnej wymiany myśli, a następnie ustnej, co zostało umożliwionem dzięki wizycie w Wiedniu hr. Lamsdorffa z końcem grudnia 1902 r. Ta wymiana myśli miała na celu zarządzenia, jakie należało przedsięwziąć dla sanacyi rzeczonych stosunków.

Przedewszystkiem uznano konieczność wyboru innego, niż dotychczasowego „modus procedendi“, dalej usunięcia z pod decyzyi ciężkiego aparatu koncertu europejskiego uchwał co do mających się przedsięwziąć zarządzeń i złożenia całej sprawy w ręce dwóch państw, a to na podstawie mandatu, jaki miał być uzyskany ze strony mocarstw, podpisanych na traktacie berlińskim.

Po osiągnięciu porozumienia co do ustalenia takiego sposobu działania, chodziło o zredagowanie odpowiedniego planu akcyi i powzięcie uchwał co do takich środków, króreby odpowiadały potrzebom chwilowego położenia, przyczem zgodzono się na to, że należy unikać wszystkiego, coby mogło sprowadzić głęboko sięgające, groźne dla pokoju europejskiego przewroty.

Zadanie nie było bynajmniej łatwe. Oba państwa, kierując się myślą przeprowadzenia u rządu tureckiego szeregu reform, któreby przy koniecznem uwzględnieniu warunków życiowych państwa tureckiego i utrzymaniu powagi sułtana, zapewniały ludności chrześcijańskiej w Turcyi europejskiej istotne i trwałe polepszenie jej położenia, musiały przedewszystkiem usunąć ze swojego programu myśl połączenia t. zw. macedońskich wilajetów w jedną autonomiczną prowincyę z chrześcijańskim generał-gubernatorem na czele. A stało się to z jednej strony dlatego, że z góry należało przewidywać opór żywiołu mahometańskiego, z drugiej zaś strony z tej racyi, iż utworzenie drugiej wschodniej Rumelii byłoby przedewszystkiem ze szkodą Turcyi, której całość miała być bezwarunkowo przestrzeganą, a niemniej ze szkodą równowagi wśród państw bałkańskich, do której naruszenia nie mogliśmy również dopuścić.

Aby tedy zaradzić wielorakim brakom na polu opodatkowania, organizacyi żandarmeryi i policyi, zaspokoić kulturalne potrzeby ludności, oraz postawić zaporę ciągłym wybrykom przeciw chrześcijanom i samowoli niesumiennych urzędników tureckich, zostały nasze żądania ujęte w jeden operat, który aprobowały mocarstwa, podpisane na traktacie berlińskim, a sułtan sankcyonował, celem przeprowadzenia zawartych w nim żądań. Chociaż rzeczony, a znany dostatecznie operat nie rościł sobie pretensyi do bezwarunkowej doskonałości i nieomylności, a my z góry zastrzegliśmy sobie jego rozszerzenie, stoimy, mimo, że z różnych stron przyjęto nasze przedsięwzięcie z pewnem niedowierzaniem, niewzruszenie na tem stanowisku, że zamierzony cel da się przy niezmordowanej wytrwałości osiągnąć na ułożonej przez nas podstawie.

Nie ukrywamy przed sobą trudności, jakie mogą być połączone z wykonaniem tego zadania i które ujawniły się już w pierwszem stadyum naszej akcyi nietylko ze strony Turcyi, lecz także przedewszystkiem ku powszechnemu zdumieniu ze strony bułgarskich Macedończyków, którzy od szeregu lat przedstawiali osiągnięcie znośnych warunków bytu dla ludów chrześcijańskich Turcyi jako jedyny i wyłączny cel swoich usiłowań. Ci to właśnie bułgarscy Macedończycy zajęli w sposób najgwałtowniejszy odporne stanowisko wobec zamierzonych reform i głosili, iż nie zadowolnią się żadnem takiem załatwieniem, któreby nie uwzględniało ich daleko idących postulatów, mających na oku raczej narodowe, niż humanitarne względy.

Rewolucyjne komitety, których centralne kierownictwo znajdowało się na terytoryum bułgarskiem, odpowiednio do tego i dzięki niemal karygodnej, a niemal nie różniącej się od czynnego współudziału tolerancyi książęcego rządu, rozwinęły, od tej chwili począwszy po prostu gorączkową działalność, której wynikiem było uzbrojenie licznych band i popełnianie oburzających zamachów, których pierwszym celem było sprowadzenie nieporozumienia pomiędzy mocarstwami, a nie w ostatnim rzędzie pomiędzy Wiedniem a Petersburgiem co do dalszego toku akcyi. Skoro jednak nie mogło ulegać żadnej wątpliwości co do stanowiska naszego postanowienia, iżby trzymać się niewzruszenie wytkniętego planu, komitety rewolucyjne, jakby dotknięte szałem, uciekać się poczęły do coraz to szaleńszych czynów, aby wywołać podobne okrucieństwa po stronie tureckiej, co też istotnie nastąpiło, a wskutek czego najbardziej cierpiała niewinna i spokojna ludność. Że w takich warunkach sprawa reform utknęła, jest zrozumiałem, zwłaszcza, że rządowi tureckiemu pożądanego dostarczono pozoru, aby nałożone nań obowiązki możliwie jak najdalej odroczyć.

Stwierdzenie tych faktów jednakże jest niezbędnem, aby wykazać bezpodstawność tej krytyki, która przemawia za rozszerzeniem planu sanacyjnego, zanim jeszcze jego skuteczność wogóle wypróbowaną być mogła. Jednakże oba gabinety pozostały niezachwianie na swojem stanowisku i uznały niezbędność tego, aby najpierw poczynić jak najpoważniejsze przedstawienia zarówno w Sofii, jak w Konstantynopolu w sprawie usunięcia owych niebezpiecznych momentów, które spowodowały wzburzenie i podsycały je nieustannie. W dalszym ciągu okazała się konieczność uzupełnienia pierwotnego projektu reform co do sposobów ich przeprowadzenia i to pod niejednym względem, ku czemu sposobności dostarczył zjazd w Mürzsteg.

Minister objaśnił następnie nowy elaborat odpowiedzi, z którego można powziąć przekonanie, że oba mocarstwa przystąpiły z całą powagą do zadania, które im się nastręczało i z całą szczerością usiłowały zadanie swoje wypełnić sumiennie. Co się tyczy krytyk, których nie oszczędzono i temu operatowi, minister jest zdania, że musi podnieść, iż mocarstwa nie mogły nie ujrzeć, że Turcya bez odpowiedniego nadzoru nie da się odwieść od swej samobójczej, a pokojowi europejskiemu zagrażającej polityki, że jednak z drugiej strony nie mogą stawiać sprawy uszczęśliwienia obcych narodowości przed interesami własnego bezpieczeństwa i spokoju.

Tymi względami kierowani, mimo wszelkich ujemnych sądów, jesteśmy zdecydowani nie dać się sprowadzić z naszej drogi i upatrywać w stałem porozumieniu z petersburskim gabinetem, wychodzącym z tego samego zapatrywania, jak również w legalnem poparciu ze strony reszty mocarstw traktatowych, bardzo poważną gwarancyę ostatecznego powodzenia podjętej akcyi.

W Konstantynopolu, gdzie zwyciężyły przezorność i polityczna bystrość sułtana przez przyjęcie uchwał mürzstegskich, nad rozmaitemi intrygami, przeciw naszej akcyi skierowanemi, będzie się zapewne coraz bardziej ustalało przekonanie, żeśmy nie jako wrogowie, ale raczej jako bezinteresowni przyjaciele Turcyi działali, i że to nie może być dla niej pożytecznem, aby utrudniano nasze zadanie rozmaitemi przekorami, że wreszcie Turcya zakwestyonowałaby tylko swoją własną egzystencyę, gdyby nie chciała szczerze i lojalnie uwzględnić naszych żądań, które jedynie mogą uchronić ją od rychłej zguby.

Porta powinna sobie z tego poważnie zdać sprawę, zanim będzie zapóźno i zanim się z obecnego chaosu wywiążą stosunki, któreby potem wszelki ratunek uniemożliwiły. Z drugiej strony powinni w Sofii pamiętać, że stanowisko książęcego rządu do ruchu rewolucyjnego poddanem jest bardzo ścisłemu nadzorowi i że Bułgarya naraziłaby stanowczo los swój, gdyby nie zrozumiała, że musi politykę swoją podporządkować pod wolę mocarstw i gdyby nie uczyniła wszystkiego, aby oddalić od siebie nawet podejrzenie karygodnego wspólnictwa w groźnych dla pokoju matactwach.

Minister wspomniał dalej o tragedyi w belgradzkim konaku, która urąga wszelkiemu poczuciu ludzkości, a która wśrod niezwykłego oburzenia całego cywilizowanego świata groziła stworzeniem stanu rzeczy, zawierającego w sobie wielorakie niebezpieczeństwa dla spokojnego rozwoju stosunków na najbliższym wschodzie. Austro-Węgry, jako najbliższy sąsiad Serbii, nie mogły zwlekać z uznaniem drugiej narodowej dynastyi, jednogłośnie przez naród na tron powołanej, gdyż tylko w ten sposób można było ochronić przed grożącą anarchią ten kraj nieszczęśliwy, a przytem leżało to już w naszym własnym interesie, aby nie utrudniać nowo wybranemu królowi jego prawdziwie ciernistego zadania. Czeka go zadanie podniesienia poważania Serbii, poniżonej przez ohydną zbrodnię, oraz pokierowania ku normalnemu rozwojowi stosunków wewnętrznych, wyprowadzonych z wszelkich prawideł przez tę gwałtowną burzę.

Należy się spodziewać, że król Piotr znajdzie w zdrowej części narodu serbskiego silną podporę w spełnieniu tej odrodczej pracy. Każdy postęp pod tym względem powitamy z tem szczerszem zadowoleniem, że może on być tylko pod tym warunkiem rzeczywistym, pomyślnym i trwałym, jeżeli sąsiednie królestwo uzna pełne znaczenie naszej przyjaźni i nie będzie przez tolerowanie złośliwych, a w pewnych nieodpowiedzialnych kołach popularnych wycieczek przeciw austro-węgierskiej monarchii, zmuszało nas do tego, abyśmy miarę naszej przychylności wskutek tego bardzo znacznie zredukowali.

Dojrzałość polityczna i roztropność cechowały zachowanie się Rumunii i Grecyi wobec najnowszych zamieszek bałkańskich. Przez to umocniły oba te państwa jeszcze więcej swą zupełnie zasłużoną opinię w oczach Europy jako żywiołów spokoju i porządku i okazały się niezawodnemi podporami tego wielkiego dzieła pokoju, któremu my staramy się w budzącem radość porozumieniu z wszystkiemi wielkiemi mocarstwami poświęcić nasze najlepsze siły. Kierunek ten decydującym był w rumuńskiej polityce z świadomą celu konsekwencyą już od długiego szeregu lat, a obecnie należy stwierdzić z zadowoleniem, że odtąd także Grecya postępuje odmiennie na tej samej drodze.

Hr. Gołuchowski zwrócił następnie uwagę na to, że we wszystkich państwach coraz wyraźniej przejawia się dążenie do ciągłego pomnażania rękojmi pokoju i do kładzenia tamy występowaniu ostrych przeciwieństw, w drodze pojednawczej wymiany zdań. Już w swojem dawniejszem exposé wskazywał minister na zyskujący coraz bardziej prawo obywatelstwa system grupowania się według szczególnych interesów, który dziś tworzy — rzec można — uzupełniającą część uzbrojenia, tej podstawy równowagi europejskiej i znajduje wydatne poparcie w coraz częstszych od pewnego czasu zjazdach naczelników państw. Mianowicie ostatnie miesiące obfitowały w takie spotkania, a pomiędzy niemi miały odwiedziny wielu zaprzyjaźnionych panujących na naszym dworze w niemałym stopniu cechę owej wyjątkowo ciepłej serdeczności, która odpowiada wybornym i pełnym zaufania stosunkom, łączącym w tak szczęśliwy sposób monarchię naszą z wszystkiemi obcemi mocarstwami.

Ludożerca

Przekład z francuskiego.

Był raz człowiek, który budził postrach w całej okolicy...

Zaczyna się to jak powieść czarodziejska, chociaż opowiadanie niniejsze nie sięga wcale czasów, kiedy czarownice i duchy nawiedzały chaty i bujne umysły.

Otóż, Jana Moulin, kowala z zawodu, nazywano ludożercą; nie gniewał się jednak za ten niezbyt pochlebny przydomek, a małe dzieci nie bały się go wcale, pomimo długiej brody, rąk i twarzy uczernionych dymem i smołą. Nie bały go się, bo nie był ludożercą, chociaż o mało nim nie został. Zresztą, opowiem wam jego dzieje tak, jak mi je opowiedziano pewnego zimowego wieczora, kiedy siedząc na ławie w wielkiej budzie leśnej, paliłem fajkę w towarzystwie poczciwych drwalów, którzy mi ofiarowali gościnność po polowaniu w lesie, gdzie się zabłąkałem.

„Jan Moulin“ — zaczął opowiadanie starzec o trzęsącej się głowie, w futrzanej czapce — był w owym czasie młodym, ładnym chłopcem, najsilniejszym w okolicy, i dopiero co się ożenił, kiedy zamieszkał w naszej wiosce.

Był biedny, ona także. Ale co to znaczy; oboje pracowici, zapobiegliwi, oszczędni, dawali sobie jakoś radę.

Ubóstwo nie hańbi. Wreszcie, nigdzie nie jest powiedziane, że ci co się pobierają bez trzosa dobrze wyładowanego dukatami, muszą wieczną cierpieć biedę.

Pracuje się, oszczędza, kupuje się naprzód mały kawałeczek ziemi, potem większy, buduje się chatę. Oto czego można było spodziewać się po młodem małżeństwie, widząc ich tak dobrze dobranych, tak zgodnie a żarliwie biorących się do pracy.

Ale Jan, jakkolwiek nieposzlakowanego charakteru, zanadto był miękki, zanadto wrażliwy, bojaźliwy nawet, i pewnego dnia wypłaty dał się zaciągnąć przez paru towarzyszów do karczmy.

— Cóż to! Przecie także jesteście człowiekiem! Do licha!.. Kiedy się tak, jak ty, pracuje, można sobie pozwolić na trochę przyjemności!.. od czasu do czasu. Cóż w tem złego?

I zakłopotany, zmuszany, dał się pociągnąć do gospody.

Pito, rozprawiano, grano w karty i Jan wrócił do domu trochę weselszy niż zwykle. Magdalena się skrzywiła, ale nic nie powiedziała. Pierwszy raz sobie podchmielił, a raz, to jeszcze nie zwyczaj, jak mówią.

W tydzień później musiał się odwzajemnić przyjaciołom i odwzajemnił się dobrze! Potem przyszła znów kolej na kogo innego i tak powtarzało się to bez końca. Wino wydawało mu się dobrem i z każdym dniem lepszem od domowego gruszniaka.

I w krótkim czasie Jan stał się nałogowym pijakiem, karciarzem, nieczułem bydlęciem, a Magdalena ofiarą jego brutalstwa, niegodziwości, prawdziwą męczennicą. A przecież nie była jedną z tych kobiet, co porzucając swoje domy, idą się gdzieś rozerwać, zajmują się plotkami ze swemi sąsiadkami, zaniedbując swoje gospodarstwo, nie robią nic, ażeby zatrzymać u siebie swoich mężów, ażeby, gdy wracają do domu po pracy, znaleźli w nim spokój i spoczynek. I z tych również wcale nie była, które, gdy mąż zbyt długo siedzi w karczmie ze swoimi towarzyszami butelki, wpadają tam, ażeby ich krzykiem i przekleństwami zmusić do powrotu do domu.

— Chciałbym widzieć — mówił Jan — żeby to moja żona zrobiła! Pięścią zamknąłbym jej gębę!

Ale Magdalena uciekała się tylko do próśb, które pochodziły z serca. Wiedziała dobrze, że gromić Jana, kłócić się z nim, narażać go na wstyd wobec drugich ludzi, to było drażnić go, a nie poprawić. Skazywała się też na niedostatek, płacząc tylko w milczeniu, prosząc go, błagając, kiedy był trzeźwy, rano, żeby zmienił swoje postępowanie nie dla niej, lecz dla dziecka, dla ich małego Jasia, aniołka o różowych policzkach, o ciemnych włoskach, śpiącego w drewnianej, rzeźbionej kołysce, dziele rąk dziadka.

Niestety, człowiek ten stał się niewolnikiem wina. Biedna Magdalena traciła głowę ze smutku, widząc swego męża, którego kochała, tak dzielnego dawniej, tak chętnego do pracy, upadłego teraz tak nisko, że nie troszczył się wcale zkąd brała chleb, mięso, mleko, jarzyny i masło, wymagając dobrego pożywienia. Słowem, wszystko, co zarabiał, szło do karczmy; to było okropne, był więc zgubiony.

Zwolna nieszczęśliwa Magdalena pobladła i wychudła strasznie, jej biedne czerwone oczy nie mogły już płakać, a z małego Jasia, karmionego uszczuplonem przez zmartwienie i kłopoty mlekiem matki, cień już tylko został.

A Jan Moulin zdawał się nic nie widzieć, nic nie rozumieć, trwał dalej w pijaństwie i rozpuście, podczas gdy jego żona popadała w coraz większą nędzę.

Pewnego razu Jan wrócił po północy i był tak pijany, że rzucił się na łóżko w odzieży.

Nazajutrz wstał z rozognionem gardłem, wypił cały dzbanek wody, pobiegł potem do kredensu, zjadł znaleziony w nim kawałek suchego chleba i zagroził żonie, że ją wybije, jeżeli mu o jedenastej nie przyniesie obfitego obiadu.

— Do dyabła! — krzyknął wychodząc. — Kiedy się pracuje tak, jak ja, to trzeba mieć co jeść!

Cóż mogła odpowiedzieć na takie brutalstwo? Milczała.

— Pamiętaj! — dodał jeszcze, będąc już za drzwiami. — Wiesz, pod orzechem, czekam na ciebie o jedenastej, z czemś dobrem, bo inaczej... strzeż się kija! Zrozumiałaś!

Ale Jaś płakał, był chory i także głodny, bo pokarm wysechł w piersi Magdaleny, wyniszczonej zmartwieniem i biedą. Nieszczęśliwa wzięła dziecko na ręce, starała się pocieszyć go, uspokoić pocałunkami.

Wybiła wkrótce jedenasta na sąsiednim kościele. Nie miała nic przygotowanego, nie miała też za co bodaj chleba kupić. Znała Jana, wiedziała, że zrobi tak, jak jej zagroził, że ją wybije.

Wreszcie, rwąc sobie włosy z rozpaczy, wpadła na pomysł dziwny, który postanowiła wykonać.

Jan, leżąc na brzuchu, z nosem utkwionym w trawie, oczekiwał pod orzechem. Odgłos kroków zbudził go z drzemki. Zerwał się, a zobaczywszy żonę dźwigającą na głowie olbrzymi kosz nakryty białem płótnem, rzekł zachrypłym głosem:

— Nareszcie, jesteś, próżniaczko! Coś ciężkiego widać przynosisz, kiedy ledwo idziesz. Prędzej komedyantko!

Zbliżyła się, postawiła kosz przed mężem i oparła się o drzewo, załamując ręce i łkając.

— Cóżeś mi przyniosła, waryatko? — mówił, odsłaniając płótno, przykrywające obiad.

Naraz krzyknął przeraźliwie, bo w koszu leżał jego Jaś, blady jak śmierć.

— Wielki Boże! mów! co to znaczy? Czy ja zmysły postradałem?

Blady i zmięszany zwrócił się do żony:

— Mówże! Błagam cię, Magdaleno.

Magdalena odpowiedziała z całym spokojem, jakim natchnęła ją rozpacz:

— Jedz, mój kochany, jedzże! To wszystko, co mi zostało. Spojrzyj, jest prawie nieżywy. Nie mam już dla niego pokarmu, nie może już żyć... twój jest, jak wszystko, co zjadłeś... Oddaję ci go na pożarcie... Uwolnij go od cierpień...

I położyła maleństwo na kolanach oszołomionego męża.

Na widok tego niewinnego stworzenia, które zaledwie miało siłę oczy otworzyć, głos z siebie wydać, instynkt ojcowski wzruszył serce kowala, i nagle, oddając dziecko matce, rzucił się przed nią na kolana.

— Boże! Boże! Tak, jestem nędznikiem; ale, skończyło się, czy możesz mi przebaczyć wszystko, co wycierpiałaś przezemnie?... Przestanę pić... Przysięgam ci... na głowę naszego Jasia... Czy mi przebaczasz? Powiedz Magdaleno...

Biedna kobieta zanadto była wzruszona, zaledwie mogła odpowiedzieć:

— Wstań Janie, mój mężu kochany, chodź do domu, tutaj mogą nas podpatrzyć.

— Tak, daj mi małego, spieszmy się, żeby nie umarł...

Ale kuma Moulinów, przechodząc krzakami niedaleko orzecha, usłyszała słowa Magdaleny i przejęta zgrozą, opowiedziała o strasznym obiedzie Jana wszystkim spotkanym po drodze, podburzyła całą wieś przeciwko ludożercy.

— Macie ich! — rzekła, zobaczywszy nadchodzących Jana i Magdalenę. Bijcie! bijcie bez litości... zabijcie go! Macie ludożercę... pozjada także wasze dzieci!

— Co! co! — krzyknął kowal, tuląc do piersi Jasia, który przestraszony wrzaskami, płakał. Chcecie zabić ludożercę?... dobrze, ale patrzcie. nie pożarłem dziecka, ta kobieta skłamała!

Zatrzymał się tłum wypuszczając z rąk widły i kije, gromiąc plotkarkę, która do takiej wściekłości doprowadziła wszystkich, nazywając ją waryatką, czarownicą.

— Dajcie jej spokój — zawołał Jan — to ja byłem waryatem, ale już nim nie jestem.. Na miłość Boga! Magdalena i dziecko giną z głodu, dajcie im chleba i mleka. Ja idę do kuźni prosić majstra o kilka sous zaliczki. Z mojej to winy umierają z głodu!

I od tego to dnia nie zaprzestano nazywać Moulina ludożercą; on jednak odpowiada często obcym, którzy na niego patrzą z przerażeniem:

— Tak, o mało nie zostałem ludożercą, ale wyszło mi to na dobre, bo zadałem kłam przysłowiu: „Kto pił, będzie pił“, i stałem się uczciwym człowiekiem, dzięki przygodzie, którą cała okolica może wam powtórzyć.

I od tego dnia począwszy, Janowi Moulin powodziło się dobrze, kupił najprzód jeden kawałek gruntu, potem drugi, wreszcie zbudował sobie chatę, do której dużo, bardzo dużo prawdziwego zawitało szczęścia.

— W końcu — rzekł starzec, który mnie opowiadaniem swojem tak bardzo zaciekawił — muszę panu jeszcze powiedzieć, że ludożerca to.... ja, a ten młody człowiek, mąż tej dobrej gosposi, przez którą usmażony omlet ze słoniną, tak bardzo dziś panu smakował, to Jaś, mój syn kochany.

Wreszcie wspomniał minister o zgonie nakazującej cześć postaci papieża Leona XIII i zaznaczył, że ostatnie konklawe wywiązało się ze swego zadania w sposób nadzwyczaj szczęśliwy i budzący niepodzielne zadowolenie. Przy tej sposobności potrącił minister o różnorodne spory i krytyki wykonania przez Austro Węgry t. zw. prawa *veto* i zaznaczył z naciskiem, że zupełnie niesłusznem jest tak zaprzeczanie tego prawa jak i opinii, że jego wykonanie jest bezprawnem zarządzeniem lub niewłaściwem mieszaniem się świeckiej władzy w sprawy kościelne. Minister wskazał na to, że chociaż *veto* na żadnej oznaczonej ustawie nie opiera się i przez Kościół nigdy wyraźnie nie było uznane — to jednak w ciągu wieków stało się prawem zwyczajowem i często w istocie było wykonywane przez dzierżycieli habsburskiej korony łącznie z Francyą i Hiszpanią, lub niezależnie od tych obu państw, na własną rękę. Tym, któremu powierzano misyę założenia *veta*, był oczywiście zawsze kardynał, a przecież nie można przypuścić, aby tak wysocy dostojnicy kościelni dali się użyć do niekanonicznego czynu.

Ponadto święte kollegium jako takie nie wydało nigdy formalnego protestu i nigdy się nie zdarzyło, aby konklawe nie uwzględniło zgłoszonego *veta*. W teraźniejszych czasach ma to *veto* raczej charakter życzenia lub ostrzeżenia i nie może wywrzeć wpływu na ważność raz dokonanego wyboru; mocarstwa bowiem, które veto wnoszą, mają dzisiaj jeszcze mniej niż kiedykolwiek środków do dyspozycyi, aby dlań uzyskać posłuch, gdyby się kolegium kardynalskiemu podobało zupełnie *veta* nie brać pod uwagę. Zupełnie stanowczo jednak należy odeprzeć twierdzenie, jakoby Austro-Węgry wykonując prawo veta wystąpiły jako reprezentacya jakiejś politycznej konstellacyi. Nigdy ani z nikim nie było rokowań, ani nawet wymiany zdań w tej mierze. Postąpiliśmy wyłącznie z własnej inicyatywy i na podstawie własnego postanowienia, a z żadnej strony nie wyszła podnieta do tego.

W końcu polecił minister budżet ministerstwa spraw zagranicznych do przyjęcia.

Mowę hr. Gołuchowskiego przyjęto powszechnym, hucznym aplauzem.

Rozmowa Cesarza z delegatami.

Podczas wczorajszego przyjęcia delegacyi austryackiej po wygłoszeniu mowy od tronu, Cesarz jak co roku odbył *cercle*, tj. rozmawiał z wybitniejszymi członkami delegacyi, przedstawionymi mu przez prezydenta ministrów dra Koerbera.

Najpierw mówił Cesarz z prezesem Koła polskiego p. Apolinarym **Jaworskim**. Monarcha wyraził p. Jaworskiemu uznanie za jego łagodzące i pojednawcze usiłowania w Radzie państwa, a następnie mówił też z uznaniem o drze Koerberze, podnosząc między innemi także jego zasługi około rozwoju kulturalnego Galicyi.

Z delegatów polskich zaszczycił Cesarz rozmową jeszcze pp. **Dulębę** i **Byka**. Do pierwszego z nich rzekł, że go widzi po raz pierwszy jako delegata, ale zna go z pobytu swego we Lwowie. Następnie oświadczył Monarcha, że śledzi z zajęciem rozwój tego miasta i że spodziewa się, iż niebawem znowu, tym razem na dłuższy czas, będzie mógł przybyć do Lwowa.

P. Byka wypytywał Cesarz o akcyę pomocniczą dla pogorzelców m. Złoczowa, przyczem zaznaczył, że wie, iż dar Jego z prywatnej szkatuły był tylko kroplą w morzu. Niestety — rzekł Cesarz — pożary zdarzają się tak często w Galicyi. Gdy p. Byk oświadczył, że najlepszym środkiem przeciw temu byłaby przymusowa asekuracya, odpowiedział Cesarz: Możecie panowie poruszyć to w Radzie państwa, skoro zacznie ona pracować.

Delegata ruskiego p. **Dłużańskiego** wypytywał Cesarz o to, skąd posłuje i czy po raz pierwszy zasiada w delegacyach.

Ważne znaczenie polityczne miała rozmowa Cesarza z del. **Kramarzem**. Wedle relacyi o tej rozmowie, Monarcha miał powiedzieć do p. Kramarza, że Czesi na tej drodze, na której są dziś, nic nie uzyskają. P. Kramarz odpowiedział, że Czesi cztery lata czekali, ale nie osiągnęli uzasadnionych swych żądań na polu języka czeskiego i dlatego muszą walczyć o nie niezmordowanie.

Cesarz: Ależ panowie żądacie coraz więcej!

P. **Kramarz**: Zaprowadzenie języka czeskiego do służby wewnętrznej W. C. Mość sam nam przyrzekłeś po zniesieniu rozporządzeń językowych, a żądanie uniwersytetu czeskiego na Morawach dla 1½ miliona Czechów jest równie usprawiedliwionem jak to, że ½ miliona Niemców w Styryi posiada uniwersytet niemiecki.

Cesarz: W pismach jednak piszecie panowie o ucisku, a to jest przesada.

P. **Kramarz**: Za to, co piszą dzienniki, nie możemy brać odpowiedzialności. Ucisku takiego, jaki cierpią Polacy w państwie pruskiem, oczywiście u nas niema, ale ja odczuwam to jako ucisk, że jako członek 6-milionowego narodu, wysoce kulturalnego, nie mogę w rodzinnym kraju w urzędach używać języka rodzinnego.

Cesarz: Mówiono mi, że na drodze konstytucyjnej najłatwiej moglibyście panowie osiągnąć swe żądania.

P. **Kramarz**: Przeszkadza temu obstrukcya mniejszości niemieckiej. Wszakże Niemcy uniemożliwiają zmianę regulaminu.

Cesarz: Na razie przecież panowie robicie obstrukcyę.

Do del. **Kaftana** mówił Cesarz o potrzebach ekonomicznych, przyczem zauważył, że pierwszym warunkiem do ich zaspokojenia jest zmiana taktyki posłów czeskich.

Z del. **Stranskym** mówił Monarcha o polepszeniu się stosunków między Niemcami a Czechami na Morawii i wyraził nadzieję, że uda się doprowadzić do ugody.

Z del. bukowińskim br. **Wassilkiem** mówił Cesarz o zajściach tegorocznych w sejmie bukowińskim, przyczem rzekł: „Zdaje mi się, że szło tam o sprawy prywatne.“ Następnie br. Wassilko dziękował Monarsze za zamianowanie prezydentem kraju ks. Hohenlohego, na co Cesarz odrzekł: „Wszyscy go chwalą, jest to bardzo dzielny człowiek.“

Wobec delegatów niemieckich wyrażał się Monarcha z wyrazami wielkiego uznania o działalności d-ra Koerbera.

Do del. **Biankiniego** rzekł Monarcha dość ostro, że w Dalmacyi wszędzie za wiele obecnie hałasują, na co p. Biankini odpowiedział, że krzyczy ten, który ból odczuwa, a naród chorwacki wiele cierpi. Cesarz odpowiedział: „Mam nadzieję, że stosunki się polepszą.“

Długo rozmawiał też Cesarz z prezydentem delegacyi austryackiej br. **Gautschem**.

Cercle zakończyło się o godz. ¾4.

O podobnym *cercle* z delegatami węgierskimi donoszą, że Cesarz między innemi wyraził nadzieję, że sesya delegacyi nie potrwa długo, gdyż budżet będzie bez przeszkód uchwalony.

Ostatnie chwile Mickiewicza.

P. Tadeusz Padalica opowiada o ostatnich chwilach Mickiewicza i o powodach jego śmierci następujące bardzo ciekawe szczegóły:

Mickiewicz wyjechał z Paryża do Konstantynopola w towarzystwie pomiędzy innymi Armanda Levy i Henryka Służalskiego. Służalskiego lubił on za jego dykteryjki, zmyślenia, które go bawiły lepiej, niż uczone rozprawy innych. Wybrał się on z namiotem i wszelkiemi przynależytościami życia obozowego! Powiadano mi jeszcze w Paryżu, że ta uprojektowana podróż, ta zamiana życia, zajmowały go bardzo i że wyjechał, marząc o niej ciągle. W Stambule był przedmiotem szczególnych względów i starań. Ambasady ustępowały mu mieszkanie w swoich pałacach, lecz nie przyjął żadnych ofiar i z hotelu, gdzie się zatrzymał, przeniósł się nawet do prywatnego domu na Jeni-Szeri. Zwiedziłem ten dom smutny, samotny, opuszczony, przy ulicy Kalendzi-Kuluk i widziałem tę dużą izbę o jednem oknie kwadratowem, w której był zamieszkał. Przedsień prowadziła do niej, a umeblowanie składało się ze stołu, kilku krzeseł prostych i łóżka, które jeszcze prostsze, pokryte siennikiem i dywanem tureckim, stało w kącie. Pokój trącił pustkowiem, był ciemny i nawet wilgotny, przypomniał mi nasze izby karczemne, jakie czasem w jesiennej podróży zastajemy po szlakach ukraińskich.

Wkrótce potem wyjechał do Burgas i tam pod namiotami przepędził kilka tygodni. Podobał sobie nad wyraz w obozowem życiu, jeździł konno na polowanie, jadł proste, żołnierskie potrawy, lecz zmiana taka życia paryskiego, pokojowego, na polowe, była za gwałtowna i nieostrożna. Nie umiano go przestrzedz, a nawet nastręczano mu rozmaite obozowe rozrywki, widząc, że w tem podoba sobie. Zdało mu się, że on młody i czerstwy, jakim był na skale Ajudahu, i że to swobodne powietrze, ten pokarm, przyrządzony przy obozowem ognisku, przywrócą mu siły, które sterał nad książkami i na paryskim bruku. W Burgas zachorował, był niezdrów dni kilka, lecz potem znowu poczuł się zdrowszym i w tym stanie powrócił do Konstantynopola. Osoby, które go tu odwiedzały często, mówiły mi, że nie zachowywał ani dyety, ani się nie okrywał starannie i jakby na przekór, chciał przywykać do twardego życia. Lecz cokolwiek bądź, stan jego zdrowia nie był zatrważający aż do 26-go listopada. Hipolit Kuczyński tak mi opowiedział resztę: „W poniedziałek z rana, około 10-tej, przyszedłem do Mickiewicza. Opowiadał on właśnie o nowinach, odebranych z Burgas. Levy powiedział mi o nim, że zeszłej nocy był cierpiącym, lecz ja go zastałem dość spokojnym. Potem zaczął rozmowę o swoich dzieciach i zakończył uwagą, że w najmłodszym Józiu spostrzega umysł uderzający, nad wiek jego dziecinny. „Kuczyński, — rzekł wreszcie — wiesz, żem się zaczął uczyć po turecku. Lękam się tylko, żeby się ze mną nie stało podobnie, jak z jednym z królów naszych, który już nieźle sylabizował, gdy go śmierć zaskoczyła“. O w pół do dwunastej uczuł mdłości i lekką dyaryę i położył się do łóżka, lecz symptomata cierpień były tak słabe, iż ani jego, ani nas nie zatrwożyły. Mickiewicz około godziny trzeciej poczuł się lepiej i zapragnął spoczynku. Wyszedł Levy i Kuczyński, a pozostał Służalski. Zaledwie upłynęła godzina, gdy ponowiły się boleści gwałtowniej i Służalski wezwał lekarza Gębińskiego. Dał on Mickiewiczowi natychmiast *laudanum* i kazał ogrzewać ciało, ale na zapytania Służalskiego odpowiedział, że chory jest w stanie bardzo niebezpiecznym. Mickiewicz wyczytał to niebezpieczeństwo z zafrasowanej twarzy Służalskiego i zapytał go: „Powiedz mi prawdę, Służalski, co lekarze mówią o mnie?“, a byli już oprócz Gębińskiego dwaj inni, Szostakowski i Bednawski. Służalski ze łzami w oczach odpowiedział: „Mówią, że możesz umrzeć“. Wtedy on rzekł: „Każ mi zawołać xiędza Ławrynowicza“. Potem kazał sobie podać pióro i chciał pisać, lecz gdy mu Służalski przyniósł papier, rzekł: „Nie mam siły“ i upadł na łoże. Była już piąta, gdy powrócił Levy i wkrótce po nim przyszedł lekarz Drozdowski. Powiadano mi potem, iż oprócz Gębińskiego, który był lekarzem z profesyi, trzej inni — na sposób turecki, nie uczyli się medycyny, ale praktykowali. Posłano więc po xiędza, a tymczasem doktorzy rozcierali mu ciało i przepisali powtórnie *laudanum*, którego przyjąć nie chciał. Po chwili, boleści znowu uspokoiły się. Myślano, że Mickiewicz zaśnie, i wszyscy powychodzili z izby. Na żądanie chorego pozostali Levy i Służalski. „Nie wiedzą, co mi jest — rzekł Mickiewicz do nich. — Chcą mię ogrzać, a ja cały w ogniu“. To rzekłszy, pochylił głowę i zasnął, lecz na moment. Wtem xiądz przybył. Wszedł po nim Drozdowski i powtórzył nacierania, gdyż zdjęły go kolki. „Oni mi skórę zedrą, jak biednemu pułkownikowi Idzikowskiemu, a ona mi już znowu nie odrośnie!“ — zawołał Mickiewicz w w boleściach. Dano mu *laudanum*, ale boleści się powiększyły, i po chwili chory leżał, nie wydając najmniejszej skargi.

Gdy się zbliżył Służalski, rzekł mu: „Powiedz moim dzieciom, niech się kochają między sobą“. Gdy go zapytano, gdzieby życzył być pochowanym, oświadczył, że na cmentarzu w Montmorency obok swojej żony. Postrzegłszy wchodzącego Kuczyńskiego o szóstej, poznał go. Potem leżał spokojnie, a xiądz Ławrynowicz namaścił go Olejem Świętym. O godzinie dziewiątej konać zaczął.

Łzy rzewne polały nam się z oczu, — mówił nam Kuczyński — gdyśmy spojrzeli po sobie, a potem na trupa. Uczucie sieroctwa i pewnej próżni życia owiało nas... Podaliśmy sobie wzajem dłonie i łkając, przyrzekliśmy spełnić godnie i z niezachwianem męstwem pielgrzymkę naszą. Patrzaliśmy na tę głowę szlachetną, po której w nieładzie białe i długie rozrzucały się włosy, i na te usta wpół otwarte, lecz sine, jakby gotowe do odezwania się, i milczeliśmy grobowem milczeniem“.

Ciało Mickiewicza nabalsamowano i we dwie zawarto trumny. Pierwsza była ołowiana, druga z drzewa. Stały one przeszło miesiąc w tym samym domu i izbie, gdzie umarł, opatrzone pieczęcią konsulatu francuskiego. Zwłoka pochodziła z dwóch przyczyn. Jedni z rodaków chcieli, żeby go pochowano w Czyfliku (folwarku) o cztery godziny drogi od Konstantynopola, leżącym w lasach Anatolii; drudzy, żeby odwieziono zwłoki do Francyi, według woli samego nieboszczyka. Rząd zaś francuski wahał się ciało wpuszczać do Francyi, z obawy wniesienia z niem cholery. Sprawa o tem zabrała więcej miesiąca czasu, lecz wreszcie pozyskano pozwolenie zawiezienia zwłok do Francyi.

Mój jeden znajomy, który był obecny przy eksportacyi, w tych mi ją prostych opisał słowach: „Dzień, wyznaczony na eksportacyę zwłok ś. p. Mickiewicza, był posępny — mżyło. Na ulicach pełno było błota. Konstantynopol cały zasępiony był od chmur i deszczu. Karawan, pokryty czarnem suknem, bez żadnych ozdób, ciągnęła para wołów. Muzykanci Włosi ofiarowali się dobrowolnie służyć muzyką i grali marsza pogrzebowego. Oddział piechoty eskortował ciało. Żołnierze szli we dwa szeregi, w odstępach o kilka kroków jeden za drugim. Za trumną szli Polacy, Francuzi, Włosi, Grecy, Żydzi, Niemcy, Ormianie, Bułgarzy, Serbowie (których reprezentantem był podówczas Mikołajewicz), Kroaci, Dalmaci, Bośniacy, Czarnogórcy, słowem, wszystkie narodowości słowiańskie i zachodnie. Obrządkowi przewodniczyli xięża polscy, a celebrował X. Ławrynowicz. Po drodze wnoszono ciało do kościoła św. Antoniego, gdzie była msza żałobna. Potem odprowadzono aż do portu Top-Hana, skąd zaambarkowano na wyznaczony przez rząd francuski parowiec „Eufrat“. Mowy przy eksportacyi nikt nie miał, gdyż tego wyraźnie żądał nieboszczyk. Zarządzali eksportacyą Służalski i Levy. Działo się to 30-go grudnia 1855 r. po południu“.

Delegacye.

(Telegram Przeglądu).

Wiedeń 17 grudnia. Komisya dla spraw zagranicznych węgierskiej delegacyi zebrała się wczoraj o godz. 5 popołudniu. Po mowie przewodniczącego Khuena Hedervarego wygłosił hr. Gołuchowski swoje *exposé*, przyjęte oklaskami. Referent Falk oświadczył, że *exposé* jest tak ważne, iż w tej chwili nie może sprostać zadaniu, by wydać sąd o poruszonych tam politycznych kwestyach. Proponuje, aby exposé wydrukowano i aby odbyto nad niem obrady podczas dyskusyi budżetowej. Pp **Ugron** i **Okolicsanyi** zgodzili się na wydrukowanie, ale zażądali, aby dyskusya odbyła się dziś lub jutro. Hr. **Tisza** oświadczył się za dyskusyą nad exposé w najbliższym czasie; obecnie jest ona niemożliwą ze względu na krótkość sesyi delegacyjnej, albowiem niebawem ma się zebrać sejm węgierski. Po wyrażeniu w końcu przez ministra podziękowania hr. Gołuchowskiemu za bardzo wyczerpujące i interesujące wywody, posiedzenie zamknięto.

Dziś zbierze się delegacya węgierska na plenarne posiedzenie.

Wiedeń 17 grudnia. „Komitet czterech“ węgierskiej delegacyi obradował wczoraj nad sprawą dwumiesięcznego prowizoryum budżetowego. Del. **Wilczek** uważa prowizoryum wspólne za zbyteczne, Sejm bowiem węgierski uchwala właśnie prowizoryum, w którem są także uwzględnione wydatki wspólne. Jednakże można się na to zgodzić, aby stan „ex lex“ nie rozszerzył się także na sprawy wspólne i tem samem nie obniżył powagi monarchii.

Del. **Ugron** mówił o języku węgierskim w armii i dowodził, że od 30 lat sprawa ta zmieniła się na niekorzyść Węgier, tak, że Węgrzy mało stosunkowo oddają się służbie wojskowej. Do ministra wojny mówca wystosował zapytanie co do nowych dział. Mówca dziwił się, że rząd austro-węgierski nie ma zaufania do dział t. zw. „Rückrohrlauf-Geschütze“, chociaż je uznano w całym świecie. Tak samo dziwnem jest obstawanie przy bronzie, choć w całym świecie używa się stali niklowej. W końcu mówca wystosował zapytanie co do sprawy przenoszenia oficerów Węgrów do pułków węgierskich.

Minister wojny jenerał **Pittreich** prosił, aby niektóre kwestye odłożono na czas odpowiedniejszy. Następnie minister obszernie się zajmował sprawą nowych dział i wywodził, że sum, przeznaczonych na haubice i baterye górskie nie wydano, ponieważ nie można było uzyskać najniezbędniejszego warunku do tego, tj. podwyższenia kontyngentu rekrutów. Wyrób haubic znajduje się w toku, a próby wydały wynik bardzo zadowalający. Jeśli inne państwa nie używają bronzu, jako materyału na swoje działa, to pochodzi to stąd, że nie znają składu mieszaniny naszego bronzu. Jest on równie trwałym jak stal niklowa i odpowiada wszelkim wymaganiom. Zgodzono się również na system „Rückrohrlauf Geschütze“, tylko co do lawet istnieje pewna niewielka wątpliwość. Prowadzą się obecnie roboty około modeli i rozmaitych typów, które potem zbadane zostaną przez komisyę wojskową, poczem zapadnie postanowienie. Na fabrykacyę nowych dział rząd prosi obecnie o 15 milionów z ogólnej, przeznaczonej na ten cel sumy 38 milionów.

Del. **Hodossy** polemizował następnie z tymi, którzy uważają prowizoryum delegacyjne za niepotrzebne, poczem komitet przyjął prowizoryum.

W sprawie skarbu narodowego.

W Paryżu odbyło się przed kilku dniami — jak donosi *Kuryer lwowski* — liczne zebranie przedstawicieli tamtejszej kolonii polskiej, na którem omawiano wszechstronnie sprawę muzeum rapperswylskiego, tudzież sprawę t. z. skarbu narodowego, która ostatnimi czasy nabrała takiego rozgłosu z powodu zarzutów, że stronnictwo wszechpolskie bezprawnie przywłaszczyło sobie prawo dysponowania tym skarbem i jego dochodami.

Z przebiegu niezwykle ważnej i zajmującej dyskusyi, jaką przeprowadzono na tem zgromadzeniu, odnieść można wrażenie, że już nietylko sposób użycia procentów od kapitałów nagromadzonych w „Skarbie narodowym“, ale wprost istnienie samego skarbu jest mocno zakwestyonowane.

Uwagę zwracało to, że pp. Józef Gałęzowski, E. Korytko, Rubach i Gasztowt, zasiadający w Radzie nadzorczej muzeum Rapperswylskiego i Skarbu narodowego, nie przybyli na to zgromadzenie, pomimo, że wszyscy otrzymali zaproszenie na nie.

Zgromadzeniu przewodniczył były prezes „Związku wychodźtwa polskiego“ dr. Kleczkowski, a referat o „Skarbie narodowym“ wypowiedział dr. Gierszyński, który jak wiadomo razem z drem Lewakowskim zasiadał aż do ostatnich czasów w Radzie nadzorczej „Skarbu narodowego“ i z powodu wniesionego przezeń protestu przeciw obecnemu sposobowi używania tego skarbu, został przez resztę członków Rady wykluczony z jej grona wraz z drem Lewakowskim.

Dr. Gierszyński w referacie swoim skreślił przedewszystkiem w krótkości dzieje emigracyi polskiej od r. 1830 i wykazał, w jaki sposób emigracyjne instytucye demokratyczne dostały się z biegiem czasu w ręce kliki, która nie zadowalając się doprowadzeniem do ruiny szkoły Batiniolskiej, postanowiła chyba ten sam los zgotować muzeum Rapperswylskiemu i Skarbowi narodowemu. Mówca dłużej rozwodził się nad kwestyą powstania Skarbu, do którego założenia przyczyniła się może kiedyś dawna Liga, która jednak z dzisiejszą nic wspólnego nie ma. Dr. Gierszyński sprostował także inny fakt, mylnie zamieszczony na łamach *Przeglądu Wszechpolskiego*, jakoby p. Zygmunt Miłkowski dał inicyatywę do założenia Skarbu. — Inicyatywa wyszła od Agatona Gillera — a pierwsze 50 fr. wpłynęło od żyda Reiffa.

Następnie oświadczył dr. Gierszyński, że dokonane ostatnimi czasy zabranie sum w „Skarbie narodowym“ złożonych i uczynienie z nich przybocznego funduszu wszechpolskiej „Ligi narodowej“ jest bezprawiem, gdyż Skarb ów powstał z ofiar także tej części społeczeństwa polskiego, które potępia program stronnictwa wszechpolskiego.

W końcu poruszył dr. Gierszyński sprawę wielce oryginalnej dymisyi, jaką dano mu jako członkowi rady nadzorczej „Skarbu narodowego“. Wiadomo, że dr. Gierszyński ogłosił był w *Kuryerze lwowskim* list otwarty, w którym zganił praktykowany obecnie sposób dysponowania dochodami „Skarbu narodowego“, a w odpowiedzi na to trzej członkowie rady stanowiący większość, a należący do partyi wszechpolskiej, przysłali mu dymisyę. On jednak tej dymisyi nie przyjmuje, bo ostatecznie takie samo prawo miałby on dać dymisyę owym trzem członkom. Owa rada nadzorcza bowiem wybrana została niegdyś przez powszechne głosowanie towarzystw emigracyjnych, a mandaty do niej są dożywotnie.

Co się zaś tyczy wreszcie kwestyi: co się właściwie stało z funduszami „Skarbu narodowego“ oświadczył dr. Gierszyński, że nie ma o tem najmniejszego pojęcia, wie tylko tyle, że zostały wycofane z Rapperswylu, ale nie wie ani gdzie się znajdują, ani też na co zostały użyte lub będą użyte, a owa większość komisyi postanowiła sprawozdań wcale nie ogłaszać.

Po Drze Gierszyńskim przemawiał p. Mieczysław Goldberg i bardzo ostro krytykował całą gospodarkę w Rapperswylu i zarzucał prezesowi Józefowi Gałęzowskiemu nieudolność w administrowaniu funduszów powierzonych jego pieczy, rozrzutną gospodarkę i na ruszenie funduszu żelaznego instytucyi tudzież zapisów na rzecz jej uczynionych. Między innemi podniósł p. Goldberg bardzo poważny zarzut, że p. Gałęzowski zamieniał papiery zupełnie pewne, w których dawniej ulokowany był majątek muzeum rapperswylskiego na papiery niepewne. I tak sprzedano obligi kolei francuskich, szwajcarskich i amerykańskich i zamieniano je na zdeprecyonowane dziś obligi kolei lombardzkich (są to papiery naszej kolei południowej, o której złym stanie czytelnicy nasi bardzo dobrze wiedzą *Przyp. Red.*) przynoszące tylko 3%, tudzież na rentę rumuńską, której zakupna każdy uczciwy bankier odradza swoim klientom. W takich to niepewnych papierach umieścił p. Gałęzowski trzecią część majątku Muzeum, funduszu stypendyjnego i Skarbu narodowego.

Ostatecznie uchwalono następujące dwie rezolucye:

1. „Wiec Polski“ w Paryżu, odbyty dnia 5 grudnia 1903 r. pod przewodnictwem ob. dra Kleczkowskiego, protestuje przeciw pogwałceniu ustawy „Skarbu narodowego“ i piętnuje zagarnięcie Skarbu, na który cały naród się składał, przez klikę i z nią sprzymierzony sztab Ligi narodowej i pseudodemokratycznej.

II Zważywszy, iż dobieralność (kooptacya) doprowadziła wiele instytucyj na emigracyi do upadku; zważywszy, iż niebezpieczeństwem, wywołanem przez dobieralność, są rządy kliki; zważywszy, że złe skutki dobieralności okazały się w ostatnich zmianach, jakie zaszły w Skarbie narodowym: Wiec polski w Paryżu wybiera posła Bojkę, d-ra Gierszyńskiego, d-ra Kleczkowskiego, d-ra Lewakowskiego i posła Stapińskiego dla wypracowania wniosków co do reformy statutów Skarbu narodowego i Muzeum i wzywa równocześnie społeczeństwo polskie do zwoływania wieców w sprawie Skarbu narodowego i Muzeum i przyjęcia analogicznych uchwał.

Mały feljeton.

Jak należy zachowywać się w towarzystwie?

Wobec rozpoczynania się pory zebrań towarzyskich, nie od rzeczy będzie przypomnieć najważniejsze przepisy z dziedziny *savoir vivre'u*.

Znajdując się w salonie, nie powinniśmy zabierać i wynosić takich przedmiotów, jak kandelabry, fortepian, firanki i t. p., z wyjątkiem córek, które gorączkowo oczekują wyprowadzenia, a nawet porwania przez młodych kandydatów na mężów.

Chociażbyśmy się najbardziej nudzili na zebraniu, nie powinniśmy ziewać w żadnym razie. Ziewać nie wolno nikomu, chyba, że jest gospodarzem.

Gdyby nam przy kolacyi nie smakowała która z potraw, to i w tym nawet wypadku nie wypada łajać kucharza. Wyręczy nas w tem, po wyjściu gości, sama pani domu.

Savoir vivre surowo zabrania odzywania się do panny fałszującej na fortepianie w słowach:

— Przestaniesz pani, czy nie? A to można zwaryować!

Powinniśmy natomiast odezwać się po skończeniu gry:

— Czy pani nie brała przypadkiem lekcyi od Paderewskiego? To zupełnie jego uderzenie.

Utartym zwyczajem, młodzieniec, bywający w domu dość często, w dniu imienin córki gospodarstwa, przynosi jej kwiaty, a nawet cukierki. Nie należy jednak samowolnie rozszerzać granic tego przywileju. Więc naprzykład nie wypada ofiarować pannie zaręczynowej kapelusza, lub tuzina rękawiczek.

W sferach wyższych przyjętą bywa rzeczą dać delikatnie do zrozumienia ile bukiet kosztował. Sposobów na to jest dużo. Jednym z lepszych jest następujący: Młodzieniec mówi: „Kiedym był w Nizzy, ofiarowywałem często bukiety znajomym paniom, bo tam są kwiaty bajecznie tanie. To nie tak jak we Lwowie, gdzie, aby kupić skromny bukiecik, trzeba zaciągnąć pożyczkę hipoteczną“.

Ten sposób, jako nader wykwintny, możemy zalecić wszystkim dystyngowanym młodzieńcom, bo nietylko daje on do zrozumienia, że sporo grosza wydało się na bukiet, ale delikatną aluzyą o hipotece budzi domysł, że młody człowiek posiada coś takiego, na co może zaciągać hipoteczne pożyczki.

Jest zawsze dobrze widzianem używanie obcych języków. Więc dobrze wychowana panna nie powinna brutalnie po polsku odmawiać młodzieńcowi angażującemu ją do tańca, ale najlepiej uczyni, gdy odezwie się do niego w te hiszpańsko-portug. słowa: *Noli me tangere*.

KRONIKA.

Lwów 17 grudnia.

Wiadomości urzędowe. Prezydent ministrów przeniósł radzcę sądu kraj. Kazimierza Kropaczka z Rzeszowa do Krakowa i zamianował radzcami sądu krajowego sekretarzy Jana Fabiana w Jaśle i Józefa Paszka z Tarnowa dla Rzeszowa.

Z galicyjskiego Towarzystwa muzycznego. W drugim koncercie za rok 1903/4, który odbędzie się w poniedziałek 21 bm. o godzinie wpół do 8-mej, w sali Domu narodnego, wykona orkiestra Towarzystwa, Händla Concerto grosso g moll i Mozarta Serenadę d dur. To ostatnie dzieło, nacechowane wdziękiem istotnie mozartowskim, poznają słuchacze poraz pierwszy we Lwowie. Ponadto znajduje się w programie koncertu oktet Schuberta.

Powszechne wykłady uniwersyteckie. W piątek dnia 18 b. m. Prof. dr. M. Smoluchowski: „Fizyka kuli ziemskiej“. Część I. O ziemi stałej. Zakład fizyczny Uniw.

Na prowincyi: W niedzielę dnia 20 b. m. Brody: Prof. J. Meyer „Romans w literaturze greckiej“. — Stryj: Prof. dr. J. Siemiradzki: „Plantacye kawy w Brazylii“.

Konkurs na stypendyum w kwocie 800 K. rocznie, przeznaczone dla rzemieślników i przemysłowców, którzy swoją wiedzę zawodową za granicą uzupełnić pragną, rozpisuje Wydział krajowy we Lwowie. Podania można wnosić do końca stycznia 1904.

Gruszki, ważące po półtora kilograma, wystawiono w oknie Hawełki w Krakowie. Olbrzymów tych dostarczyła jakaś firma francuska. Gruszki te kosztują po 24 K. sztuka.

Immatrykulacye na uniwersytecie lwowskim. Od wczoraj odbywają się na uniwersytecie lwowskim immatrykulacye nowozapisanych akademików. Dotychczas odbyła się immatrykulacya uczniów trzech wydziałów: teologicznego, lekarskiego i prawniczego, jutro zaś przed południem dokonana zostanie immatrykulacya uczniów wydziału filozoficznego. Ciekawe jest zachowanie się pewnej części akademików ruskich w akcie immatrykulacyjnym. Oto wnieśli oni do senatu akademickiego pismo z oświadczeniem, że nie wezmą oni udziału w immatrykulacyach, gdyż nie została jeszcze dotychczas załatwiona sprawa składania przez akademików ruskich przyrzeczenia akademickiego podczas aktu immatrykulacyjnego w języku ruskim, oni zaś w innym języku przyrzeczeń takich składać nie chcą, wobec czego proszą, aby doręczono im poświadczenia immatrykulacyjne „w drodze kancelaryjnej“.

Na oświadczeniu tem podpisało się 89 akademików ruskich, ale przykład ich nie pociągnął innych akademików ruskich. Mianowicie teologowie zjawili się wszyscy bez wyjątku przy immatrykulacyi, z uczniów zaś innych wydziałów zauważono brak przeważnie tych akademików, którzy stale mieszkają na prowincyi i którzy — jak władze uniwersyteckie przypuszczają — nie przybyli na immatrykulacyę w mniemaniu, iż wszyscy akademicy ruscy nie wezmą udziału w akcie immatrykulacyjnym, a nie tylko ci z nich, którzy należą do partyi ukraińskiej.

Co do samego żądania akademików ukraińskich, aby im doręczono poświadczenia z rzekomo odbytej przez nich immatrykulacyi w „drodze kancelaryjnej“ — to, jak nas poinformowano, nie ma ono żadnej podstawy i wedle przepisów uniwersyteckich jest zupełnie niedopuszczalne. Przedewszystkiem dlatego, że w akcie immatrykulacyjnym musi każdy akademik uczestniczyć osobiście, jeżeli chce otrzymać *vidi* rektorskie; w przeciwnym razie traci kurs i może immatrykulować się dopiero w półroczu drugiem, letniem.

Proces gminy m. Lwowa z gal. Kasą oszczędności o kwotę 340.000 K. na dokończenie budowy Muzeum przemysłowego miejskiego, rozstrzygnął najwyższy trybunał w Wiedniu na korzyść gal. Kasy oszczędności. Sumę tę, o którą spór się toczył, zapłaciła już Kasa oszczędności i za te pieniądze budowa gmachu została ukończona, zastrzegła jednak sobie Kasa, że jeżeli wyrok wypadnie w najwyższej instancyi na jej korzyść, w takim razie gmina m. Lwowa musi jej zwrócić całą tę sumę w ratach rocznych. Ponieważ istotnie taki wypadek zaszedł, przeto musi gmina zwrócić Kasie oszczędności 340.000 koron. O wiele lepiej byłaby wyszła gmina, gdyby była poszła za radą tych mężów, którzy doradzali spór załatwić polubownie np. w ten sposób, że gmina poniesie połowę straty, a Kasa oszczędności drugą połowę, byłaby bowiem zapłaciła tylko 170.000, a tak musi zapłacić 340.000 koron. Dla zarządu miasta sprawa ta jest bolesną wskazówką, że należy być ostrożnym nawet w przyjmowaniu fundacyi.

Zmiany własności. W miesiącu październiku dokonano we Lwowie następujących transakcyj kupna i sprzedaży realności: Edmund i Jan Stromengerowie kupili od Oswalda Zacha realność w dzielnicy II giej za 35.000 K.; galicyjska Kasa oszczędności we Lwowie od Chaima Hausmana dom przy ul. Głębokiej l. 3 za 30.500 K.; Jakób Karp od Dawida Janczera dom przy ul. Pełtewnej l. 1a za 20.000 K.; Izak Bürger od Emilii Weber dom przy ul. Podzamcze l. 4 za 20.600 K.; Antoni Góralczyk od Juliana Timowtiewicza dom przy ul. Teatyńskiej l. 11 za 50.500 K.; Jadwiga Blumska od Antoniego i Jadwigi Olszewskich dom przy ul. Słodowej bocznej l. 6 za 39.000; Jan i Jadwiga Langier od Franciszki Mieding dom przy ul. Janowskiej l. 38a za 24.000; Jadwiga, Jerzy, Jan, Alicya i Zofia Romaszkanowie od masy spadkowej po ś. p. Karolinie Romaszkanowej połowę realności przy ul. Krętej l. 6 za 442.971; Jan Ustyanowicz od masy spadkowej po ś. p. Katarzynie Wieczyńskiej dom przy placu Maryackim l. 10 za 478.717; Stanisław Żelechowski od galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego we Lwowie realność przy ul. św. Zofii za 21.000; Piotr Zarickij od dra Joachima i Teresy Ueberall dom przy ul. Szeptyckich l. 56 za 55.621; Stanisław Wurm od Jakóba i Róży Günsbergów dom przy ul. Krakowskiej l. 26 i 28 za 263.000; Józefa Swaczina od Franciszka Swaczi y pół realności przy ul. Kochanowskiego l. 4 za 32.000; Józef Kozioł od masy spadkowej po Waleryi Markowej dom przy ul. Bema l. 9 za 51.150; Wiktorya Mańczukowska od Józefa Mirskiego dom przy ul. Długosza l. 21 za 47.000; Natan Brandler od Wilhelminy Schuman dom przy ul. Na Błonie l. 22 (na licytacyi) za 21.530; Bronisława Bardach od Markusa Danka dom przy ulicy Bogusławskiego liczba 18 za 53.000; Dr. Władysław Leczyński od Alfreda i Heleny Dzikowskich dom przy ul. Sykstuskiej l. 54 za 109.000; Chane Herman od Gitli Löw dom przy ul. Arciszewskiego l. 2 za 20.000; Bronisława Dzbańska od Jana Maysenhältera dom przy ul. Kochanowskiego l. 10 za 62.000; Brandel Riemer od Salomona Riemera część realności przy ul. Jachowicza l. 22 za 20.000; Tadeusz Klusik Orzechowski od Reginy Epstein dom przy ulicy Lelewela l. 3 za 72.270; Hene Rosnerowa od Salomona Rosnera część realności przy ul. Janowskiej 12 a za 234.000; Meier Feller od Dawida i Lei Fellerów dom przy ul. Szpitalnej l. 50 za 24.000; Galicyjski Bank hipoteczny od Chuli Chajesowej dom przy ul. Snopkowskiej 9 (na licytacyi) za 41.545; Władysław Gozdowski od Jakóba Silbersteina dom przy ul. Hofmana Opata l. 9 za 84.000.

Ministerstwo kolei przyznało na skutek podania wniesionego w imieniu Sanockiej fabryki wagonów i maszyn przez „Centralny Związek fabryczny“ fabryce tej opust „regie“ za przewóz surowca, potrzebnego do żelaznych konstrukcyi, dostawionych dla hali peronowej nowego dworca lwowskiego.

Z Czerniowiec nam donoszą, że tam w poniedziałek odbył się wieczorek artystyczny ku uczczeniu trzech naszych wieszczów, Adama, Zygmunta i Juliusza, a na rzecz budowy bursy polskiej w Czerniowcach. Śpiewała pani Gembarzewska, deklamowała prześlicznie pani profesorowa Halbanowa „Testament Słowackiego,“ a Chmieliński „Noc natchnienia“ Ujejskiego i odegrano prześliczny pastelowy obrazek Jana Łady (x. prałata Gnatowskiego) p. t. „Jak liście z drzew strącone.“ Sala była przepełniona publicznością bardzo dystyngowaną, między innymi znajdował się w jednej z lóż metropolita grecko-oryentalny x. Repta, mąż sędziwy o nader pięknej i rozumnej twarzy. Było też bardzo dużo pań z wyższych sfer tamecznego towarzystwa rumuńskiego i niemieckiego jakoteż olbrzymi zastęp Polaków. Loże i fotele pełne były prześlicznych twarzyczek, wiadomo bowiem, że wśród Polek bukowińskich jest mnóstwo pierwszorzędnych piękności.

Po wieczorze artystycznym odbyła się uczta w sali tamecznej ochronki polskiej. Pięknie udekorowana sala zastawiona była trzema rzędami długich stołów, a wypełniła się bardzo inteligentną publicznością polską. Oczywiście było dużo toastów; najgłębsze myślą i najpiękniejsze formą były toasty x. Gnatowskiego, p. Sołtyńskiego, prof. Halbana i p. Bogdanowicza, a pełnym poetycznego polotu był toast młodziutkiej i uroczej słuchaczki uniwersytetu lwowskiego panny Waydówny. Uczęszcza ona na wydział filozoficzny, jest rzeczywiście panienką bardzo wykształconą i zna dobrze naszych poetów, to też toast swój wzbogaciła cytatami z ich utworów. Do tego była ubrana w kontusik błękitny i biały żupan, w czem jej było bardzo do twarzy. Wygłosiła swój toast bardzo śmiało, efektownie, z wielką siłą deklamacyjną. Uwieńczono ją rzęsistymi oklaskami. Uczta zakończyła się gdzieś koło godziny 1-ej po północy i zostawiła za sobą bardzo miłe wspomnienie u wszystkich, którzy brali w niej udział.

Całodzienny majsterski kurs szewski odbędzie się we Lwowie, staraniem Wydziału krajowego, w czasie od 15 stycznia do 14 marca 1904 r. Udzielana będzie na nim nauka następujących przedmiotów: budowa nogi, branie miary, przykrawanie, ręczny wyrób części wierzchów i spodnich, wyrób obuwia za pomocą najważniejszych maszyn ręcznych i nożnych przy zastosowaniu nowoczesnych urządzeń technicznych; towaroznawstwo, przemysłowa buchalterya, stylistyka i kalkulacya. Nauka, na którą zostanie przyjętych tylko siedmnastu kandydatów ze wschodniej części kraju, jest bezpłatna. Podania należy wnosić na ręce delegata Wydziału krajowego Arnulfa Navratila, starszego inspektora przemysłowego we Lwowie (ul. Kopernika) najdalej do 24 grudnia b. r.

Ciche mówienie na scenie. *Czas* robi artystom krakowskiego teatru następującą uwagę: „Zakradł się do naszego teatru zwyczaj tak cichego mówienia na scenie, że w audytoryum w literalnem tego słowa znaczeniu nieraz nic a nic nie słychać. Zwyczaj ten, raczej błąd fatalny i nieznośny, grozi już przejściem w nałóg chroniczny. Dyrekcya powinna bezwarunkowo przeciw niemu wystąpić i energicznie go wykorzeniać“.

To samo słowo w słowo możnaby powtórzyć i o lwowskim teatrze. Wielu z naszych wybitnych artystów i artystek mówi tak cicho, że ich nawet w pierwszych rzędach foteli nie słychać. A przecież zważać powinni na to, że w audytoryum, choćby złożonem z osób, słuchających przedstawienia z jak największem skupieniem, panuje nieustanny szmer: jeden widz kaszlnie, inny chrząka, trzeci nos obciera, tamtemu spadnie jakiś przedmiot na podłogę, niektórzy widzowie szeptem udzielają sobie wzajemnie uwag o tem, co się dzieje na scenie itd. Wskutek tego bardzo często zdarza się, że nieraz najważniejszy frazes na scenie ginie dla słuchaczy.

Wirtuozowstwo złotników. W Berlinie urządzono obecnie w jednym ze sklepów wystawę wyrobów złotniczych. Przedewszystkiem uwagę zwiedzających zatrzymują na sobie wyroby Rachumowskiego, słynnego fałszerza tiary Saitafernesa. Pisma niemieckie nie mają słów na określenie jego wirtuozowstwa. Jego roboty artystyczne, w stylach greckim, egipskim i assyryjskim są podobno prawdziwemi arcydziełami techniki. Precyzya w wykonaniu jest tak daleko posunięta, że trzeba przez lupę przyglądać się delikatnemu wyrobieniu jego dzieł, aby ocenić należycie ich niepospolitą wartość artystyczną.

Obok Rachumowskiego postawić należy Filipa Wolfersa z Bruksélli, który wystawił prawdziwe cacka jubilerskie, mianowicie, między innemi, statuetkę z kości słoniowej, wyobrażającą nimfę z pawiem, w którego ogonie piękne pióra kunsztownie zostały wyrobione przy pomocy emalii i drogich kamieni. Zdawaćby się mogło, że w tej robocie dobry geniusz Benvenuta Celliniego kierował ręką artysty, tak zdumiewający jest wdzięk i wykończenie tej grupy miniaturowej. To samo da się powiedzieć i o koliach jego roboty, o dyademach, naramiennikach, o kwiatach, łabędziach, rżniętych w kamieniu i o wszystkich drobiazgach, wchodzących w zakres biżuteryi. Doskonały, subtelny rysunek łączy się tu w jedno z nadludzką wprost cierpliwością i wytrwałością, która wymaga lat całych ślęczenia nad jednym pomysłem. Zdobywają się na to — tylko artyści urodzeni.

Niezwykłe w formie i doborze kolorów są również wyroby z emalii, wyglądającej jak różnobarwne kamienie, a będące dziełem hr. Suau de la Croix. Pierwszy to zapewne utytułowany jubiler, który osiągnął takie wspaniałe rezultaty w dziedzinie sztuki, traktowanej początkowo po dyletancku, *pour passer le temps*. W dziale drogich kamieni i pereł niepodobna pominąć też G. Fouquet'a z Paryża.

Jest to więc wystawa rzeczywiście ciekawa i zdaje się stwierdzać, że t. zw. sztuka stosowana jest sztuką prawdziwą, gdyż talent twórczy ma w niej ujście równie dobre, jak w każdej innej dziedzinie artyzmu.

Śpiączka. Od kilku tygodni świat naukowy francuski zajmuje się nową chorobą, która znana jest w Afryce pod mianem „śpiączki“. Człowiek, który jej podlega, na razie nie zdaje sobie z tego sprawy, tak nieznaczny, powolny bywa jej rozwój. Potrzeba od 5 do 7 lat na to, aby objawy jej wystąpiły w formie ostrzejszej i dały się rozpoznać. Jest to choroba zaraźliwa i zdarza się nieraz, że ktoś, kto opuścił ognisko zarazy, zapomina o grożącem mu niebezpieczeństwie, które, po kilku dopiero latach, zjawia się niespodziewanie i pisze choremu wyrok śmierci. Tak. Śmierci — bo choroba ta rzadko komu przepuszcza.

Pewnego dnia najzdrowszy przedtem człowiek czuje się złym, kwaśnym, przybitym, melancholijnie usposobionym. Rysy jego twarzy zmieniają się nagle. Stają się odęte, nalane. Zjawia się ból głowy, połączony z zawrotami i występują zaburzenia w trawieniu. Po kilku miesiącach objawy te nabierają charakteru ostrzejszego. Każdy murzyn wie już wówczas, co go czeka. Mimo wszelkich wysiłków i rozpaczliwej obrony — ogarnia go senność nieprzezwyciężona. O każdej godzinie, na każdem miejscu — chory zasypia. Zasiada do obiadu, podczas jedzenia zapada w sen. Ubiera się — z surdutem włożonym na jedno ramię — usypia i t. d. Życie czynne kończy się. Stan chorego z każdym dniem jest groźniejszy. Senność się zwiększa, od czasu do czasu występują drgawki mięśniowe, które stopniowo stają się poważnemi konwulsyami. Odżywianie organizmu zostaje powstrzymane, ciało się wycieńcza, wreszcie następuje zupełny letarg i chory zapada w sen śmierci.

Wyleczenie jest wypadkiem niezmiernie rzadkim. Klęska szerzy się szybko i ciągle i liczy już tysiące ofiar. W Afryce, a przedewszystkiem w Ugandzie, śpiączka uśmierciła już przynajmniej 100.000 ludzi. Nie dziw też, że zwrócono na nią uwagę i że zaczęto badać ją naukowo, tembardziej, że stanowi ona niemałą przeszkodę dla kolonizacyi. Ażeby poznać zło u źródła, utworzono kilka misyi naukowych — w Afryce, w Brazylii, w Indyach i na wyspie Ceylon. Pierwsi zajęli się tą sprawą Anglicy, potem Portugalczycy i Belgowie, wreszcie świeżo właśnie Francuzi. Badania przedsięwzięte przez uczonych wykryły, że przyczyną choroby są bakcyle, znane już i odkryte przez Castellamiego, a noszące miano *trypanosome ugandonse*. Do organizmu ludzkiego dostają się one za pośrednictwem boleśnie kąsającej muchy *tse-tse*. Wprowadzone do krwi, w miarę rozmnażania się, atakują one system nerwowy i wywołują tę fatalną, niczem niezwalczoną senność, doprowadzającą do śmierci.

Taki jest stan kwestyi obecnie. Co wykryją dalsze badania — nie wiadomo, w każdym jednak razie, możemy być spokojni, że choroba ta do Europy nie zawędruje, gdyż nie ma u nas muchy *tse-tse* roznosicielki tej okropnej zarazy.

1236 pocałunków. W mieście Galway, w stanie nowojorskim, panna Frances Peltit wytoczyła p. Tittemore proces o zerwanie przyrzeczenia małżeństwa, żądając odszkodowania w sumie 49.440 dolarów za 1236 pocałunków, jakie otrzymała od Tittemorego, gdy był jej narzeczonym, licząc pocałunek po 40 dolarów. Dokładność liczb powyższych tłómaczy się tem, że obwiniająca prowadziła dziennik, w którym co wieczór zapisywała liczbę pocałunków otrzymanych i dziennik ten przedstawiła w sądzie. Sąd, opierając się na dowodzie tak wymownym, przyznał pannie odszkodowanie, ale nie w sumie 49.440 dolarów, lecz tylko 3.000 dolarów, oceniając takim sposobem każdy pocałunek na 2 dolary 37 ct. Zdaje się wszakże, iż panna nawet tej sumy nie otrzyma, skazany bowiem ogłosił upadłość.

Zmarli. W Jaśle Henryk Ogniewski, prezydent sądu obwodowego.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano — 2, w poł. + 1. Bar. 768. Nieruchomy. Pochmurno.

Wielka zachęta.

— Dziwię się, że pan prosisz o moją rękę, nie dałam przecież panu żadnej zachęty...

— Przeciwnie, wielką nawet...

— Jaką?

Powiedziała pani najwyraźniej, że ma — 100 tysięcy posagu.

Złośliwy.

— Czy widziałeś kiedy gadającego psa?

— Co prawda, nie — ale za to widziałem wielu ludzi, oszczekujących swych dobroczyńców...

Widowiska i koncerty.

Teatr miejski. Dziś we czwartek po cenach zniżonych „Skąpiec“ Moliera; rozpocznie „Jak liście z drzew strącone“ Jana Łady. — W piątek „Halka“ Moniuszki. — W sobotę po raz pierwszy „Jan Gabryel Borkman,“ sztuka w 4 a. Ibsena. — W niedzielę popołudniu „Safanduły“; wieczorem „Aida“, opera Verdiego.

Teatr ludowy (ul. Zimorowicza 17). We czwartek „Ahaswer“ Janowskiej-Zapolskiej z p. Czaplińską w roli Elki.

Filharmonia. Dziś we czwartek Wielki koncert filharmoniczny ze współudziałem znakomitego skrzypka Jarosława Kociana.

W sobotę 19 b. m. wystąpi z pierwszym koncertem filharmonicznym p. Ludwik Czelansky ze swą orkiestrą, która dawniej grywała w Filharmonii i zyskała sobie ogólne uznanie naszej publiczności.

Colosseum Od 16 grudnia nowy sensacyjny program: Trupa Lexton Jegelton na 6 rekach napowietrznych. The Great Joscorony, ikaryjskie igrzyska. Lee Andor Maerry. Little All-right. Jackson Bau. Malaga Crio. Ludwikowski. Anna Thomsen. Bioskop i cały fenomenalny program. W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o 4 i 8.

Literatura i sztuka.

* **Rudyard Kipling**: „Druga księga dżungli“. Przełożył z angielskiego Teodor Mianowski. Illustrował Władysław Witwicki. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego we Lwowie.

Fantastyczne, choć pełne realizmu opowieści Kiplinga o tajnikach dżungli indyjskiej, widocznie mają u nas wielu zwolenników, skoro już druga lwowska księgarnia wydaje je w nowem tłómaczeniu. O dziele Kiplinga pisaliśmy obszernie swego czasu, gdy nakładem Altenberga wyszło tłómaczenie Czekalskiego, które publiczność naszą po raz pierwszy zaznajomiło z niezwykłą twórczością angielskiego pisarza. Dżungla indyjska, tak, jak ją przedstawia Kipling, przypomina nam imponujące mateczniki puszcz litewskich, opisane przez Mickiewicza w „Panu Tadeuszu“. Zwierzęta Kiplinga związane są z sobą jakby w spisek, ukryty przed ludźmi i dla ludzi niedostępny, mają własny język i odrębne prawa, są społeczeństwem, które w pewnych wypadkach staje wrogo wobec człowieka i niszczy jego państwo siłą żywiołową, siłą, która człowiekowi wydaje się ślepą i bezrozumną. Jedynym wtajemniczonym w życie zwierząt jest Mowgli, człowiek wychowany od dziecka w towarzystwie wilków, panter, słoni i niedźwiedzi, sam nawpół zezwierzęcony. Takie pojmowanie świata zwierząt jako odrębnego królestwa, ale w inny sposób, niż to robione np. w bajkach, graniczy z mistycyzmem. Świat ludzi oddziela od świata zwierząt zasłona, którą może uchylić tylko poeta. Ale w jakimże języku może nam opowiedzieć poeta to, co ujrzał po za tą zasłoną? Tylko w języku ludzkim. To jest odwrotną stroną medalu. Zwierzęta Kiplinga są zanadto ludźmi. Pazury, paszcze, siłę mają zwierzęcą, ale uczucia i rozum ludzki. Trudno nam sobie wyobrazić zgodliwy sejm hyen, wilków, panter itp. Wiadomo nam bowiem, że poszczególne gatunki zwierząt unikają się wzajemnie; trudno nam sobie wyobrazić czułą wilczycę, ocierającą niemal łzy z oka węża dusiciela, jako starannego wychowawcę, panterę płatającą figle ludziom itd. O wiele głębiej w rzeczywistą psychę zwierząt wnikał Dygasiński. Atoli sposób Kiplinga ma w sobie odrębny urok. Jego zwierzęta są to jakby dusze, które dobrowolnie obrały sobie ciała zwierzęce, pogardzając ciałami ludzkiemi. Władzcom dżungli przeciwstawia Kipling tylko nędznych Indusów, a gdzie opisuje zetknięcie się ludzi ze zwierzętami, tam górą jest zawsze zwierzę. Możnaby w tem upatrywać nawet pesymizm, wszyscy bowiem nawykliśmy uważać naturę ludzką za doskonalszą. Dzieło Kiplinga jest jakby poetycznem wcieleniem dawnego hasła powrotu na łono natury; bohaterem jest tu Mowgli, człowiek odrodzony pożyciem wśród zwierząt, silny i piękny, odczuwający wszystko świeżem sercem, nietkniętem przez cywilizacyę.

Teraz ukazuje się „Druga księga dżungli“ w nowej, wspanialszej szacie. Tłómaczenie p. Mianowskiego, przekłady librett Wagnera są klasyczne, pełne wyrazów najlepiej dobranych, najbardziej zgodnych z duchem języka polskiego, nieskażone żadnym błędem dyletanckiem. Format książki duży, papier wykwintny, druk jeden z najlepszych jaki posiadamy, bo drukarni Jagiellońskiej. Słówko jeszcze o illustracyach p. Władysława Witwickiego. Jestto młody artysta-malarz, zajmujący się zarazem fachowo filozofią; w „Księdze dżungli“ pokazuje on po raz pierwszy publicznie owoce swej pracy. Na wszystkich jego rysunkach do tekstu Kiplinga fauna i flora lasów podzwrotnikowych wiernie jest oddana, mają też one tę zaletę, że wspierają fantazyę czytelnika w wyobrażeniu sobie scen, nakreślonych przez Kiplinga. Tę jednak trudność ma artysta, illustrujący Kiplinga, że w swej sztuce nie znajduje środka dla uczynienia zwierząt postaciami tak zindywidualizowanymi, jak w księdze Dżungli. Zwierzęta w malarskiem tłómaczeniu p. Witwickiego są traktowane zbyt realistycznie, a przytem przeważnie są za małe, np. wąż Kaa, opasujący Mowgłego, jest stanowczo za mały. Najlepszą jest Baghera. Doskonale za to wyszedł człowiek, to jest Mowgli, zwłaszcza rozumowanie jego w illustracyach do ustępu ostatniego „Bieg wiosenny“ oddane zostało z wielką poezyą. Do najudatniejszych illustracyi należy też krajobraz z polany, oraz pęd rozszalałego ducha Dżungli, niszczącego dobytek ludzki.

* **Dr. Maksymilian Gumplowicz**: „Początki religii żydowskiej w Polsce“ (z teki przygodnej). Warszawa 1903. Nakładem księgarni E. Wende i Spółka.

Przedwcześnie zmarły historyk, M. Gumplowicz, pozostawił w tece pośmiertnej kilkanaście prac ukończonych lub prawie ukończonych, które ojciec jego, prof. Ludwik Gumplowicz, skrzętnie wydaje. Hypotezy młodego dziejopisarza uderzają śmiałością, która graniczy niemal z paradoksalnością fantastyczną. Autor zbija ogólnie rozpowszechnione mniemanie o przywędrowaniu żydów do Polski w XIII, czy XIV wieku z Niemiec, czego ich żargon dowodzi, lecz twierdzi, że byli oni u nas żywiołem prastarym i prowadzili obszerny handel między morzem Bałtyckiem a Czarnem z Arabami w VIII i IX wieku po Chr. Nie byli to zresztą żydzi izraelskiego pochodzenia, lecz chazarowie, których posiadłości w owym czasie sięgały od Wołgi po Wisłę i którzy wyznawali religię mojżeszową. Dowodzić tego mają świadectwa arabskie i monety z napisem hebrajskim: Abraham Duchs lub Abraham Pech (królik lub raczej majordomus chazarski), i monety hebrajskie Mieszka I, i mennice, pozostające w rękach żydowskich jeszcze w XII wieku (przy Mieszku III), i podanie o jednodniowym królu, Abrahamie Prochowniku, i nazwy geograficzne w Polsce o wschodniem pochodzeniu.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 15 grudnia.

(Z.) Przerwa w rokowaniach o zawarcie prowizorycznego traktatu handlowego z Włochami i powrót delegatów austryackich do Wiednia po nowe instrukcye, sprawiły w sferach giełdowych bardzo nieprzyjemne wrażenie. Nieprzyjście bowiem do skutku traktatu z Włochami odbiłoby się fatalnie na stosunkach ekonomicznych całej monarchii, gdyż bądź co bądź zajmują Włochy w handlu zagranicznym naszej monarchii trzecie miejsce, a wartość wywozu do Włoch przedstawia sumę przeszło 140 milionów koron rocznie. Trudności pochodzą tylko stąd, że oba rządy zanadto ulegają żądaniom producentów wina w Austryi i na Węgrzech, ale bądź co bądź powinien rząd mieć i to na względzie, że nie cała ludność państwa składa się z producentów wina, lecz także z jego konsumentów, dla których właśnie jak najniższe cło na wina włoskie jest bardzo pożądane. Od czasu, jak zawarto traktat z Włochami z ową tak niewygodną dla właścicieli winnic klauzulą o cle od win włoskich, konsumcya wina rozpowszechniła się nawet w bardzo ubogich sferach ludności, które dawniej nie mogły sobie pozwolić na taki luxus.

Porozumienie między amerykańskim trustem naftowym a austryackiemi rafineryami co do skontyngentowania eksportu nafty z Austryi do Niemiec — nie przyszło do skutku, gdyż rafinerzy austryaccy są zdania, że w obecnej konstelacyi nie potrzebują żadnej spółki z Amerykanami, lecz o własnych siłach mogą z korzyścią uprawiać eksport do Niemiec.

Ministeryum kolei żelaznych zamówiło właśnie 12 lokomotyw do pociągów pośpiesznych i tyleż tenderów za cenę 1,060.000 koron. Dostawę tę rozdzieliły pomiędzy siebie cztery fabryki, t. j. fabryka dawniej Siegla w Wiener-Neustadt, fabryka towarzystwa „Staatsbahnu“ w Wiedniu, czesko-morawska fabryka maszyn w Pradze i fabryka Ringhofera w Śmichowie.

Sport.

Niezwykłem zdarzeniem jest ogłoszona przez Jockey Club anulacya tegorocznych wyścigów konnych w Sędziszowie. Towarzystwo Zachęty, przekonawszy się w zeszłym roku, że urządzenie meetingu dla publiczności dało ujemny rezultat finansowy, nie mając nadto funduszów dostatecznych, by dotować więcej biegów, rozpisało tylko dwa obowiązkowe, a to bieg hodowlany 2-latków, dotacya 2500 K., w którym to biegu z 46 mianowań pozostały tylko 3 konie p. Ostoia-Ostaszewskiego, jakoteż bieg o nagrodę ministerstwa rolnictwa 2000 koron dla 3-letnich i starszych ogierów i klaczy. Do tego biegu zamianowane zostały: „Wiadomość,“ „Dreyfus II“ i nie mający prawa, jak to się później pokazało, biegać „Excelsior“ p. K. Rostworowskiego

W takim składzie rzeczy nikogo ze sportsmanów meeting sędziszowski nie zachęcił do przybycia, bo bieg hodowlany był już jakby odbyty, „Camelotte“ zrobiła walkover, a nagroda ministeryum była pewną zdobyczą dla „Wiadomości“, klaczy obecnie również p. Ostoia-Ostaszewskiego, która w Krakowie i we Lwowie wygrała swemu hodowcy hr. St. Siemieńskiemu w czterech biegach 9 540 kor. i złoty puhar i jest notorycznie znanym najlepszym w tym roku galicyjskim koniem. Dyrektoryum Jockey Clubu annulowało te biegi, a nagrodę ministeryum rolnictwa odesłać poleciło. Wyrok ten wydany został na podstawie §. 33 regulaminu wyścigowego, który brzmi: „Kierownictwo wyścigów w każdym meetingu musi się składać z conajmniej dwóch członków“. Wyrok ten wyrządził bezsprzecznie z jednej strony krzywdę, właścicielowi „Wiadomości“ i „Camelotta“, z drugiej jednak strony sprawiedliwości stało się zadość, bo formy są asekuracyą przeciw nadużyciom, a paragrafy strażnikami porządku.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Depesze poranne).

Marsylia 17 grudnia. Okręt „St. Leonardo“, który przybył z Filadelfii z ładunkiem nafty, uległ eksplozyi. Cały okręt stanął w płomieniach, 2 ludzi było rannych, a 4 nie odszukano dotychczas. Pożar przeniósł się na 30 wagonów, stojących w porcie i na drugi okręt, naładowany karbidem. Wiele osób, wskutek wstrząśnienia powietrza od tej eksplozyi, padło na ziemię. Obawiają się tu lada chwila wybuchu karbidu, co wywołuje panikę wśród ludności. Okręt z karbidem niezawodnie zatonie. Straż ogniowa okazała się bezsilną, pożar w magazynach i w Izbie handlowej zdołano ugasić.

Grac 17 grudnia. Z powodu zaburzeń na politechnice, rektor zakazał katolickiemu stowarzyszeniu studenckiemu „Karolinia“ noszenia „barw“ wewnątrz gmachu, a trzech członków tego towarzystwa relegował.

(Depesze popołudniowe).

Kraków 17 grudnia. Na wczorajszem wieczornem zgromadzeniu krakowskiego Towarzystwa lekarskiego wybrano prezesem prof. Juliana Nowaka, wiceprezesem dr. Aleksandra Rosnera, sekretarzem dorocznym dr. Urbanika; delegatami do galicyjskiego Towarzystwa lekarskiego prof. Marsa i Głuzińskiego, redaktorem *Przeglądu lekarskiego* dr Augusta Kwaśnickiego; do komitetu redakcyjnego dr. Ciechanowskiego, Cerchę i Rutkowskiego.

Londyn 17 grudnia. Dzienniki donoszą, że rząd zezwolił na utworzenie w Irlandyi 26 pułków ochotniczych. Dotychczas nie chciał rząd nigdy na to pozwolić.

Waszyngton 17 grudnia. Na prośbę amerykańskiego posła w Soeul, który doniósł o poważnych niepokojach na Korei, wysłano do Korei okręt wojenny.

Waszyngton 17 grudnia. Z powodu sporu konsula amerykańskiego Davisa z władzami tureckiemi w Aleksandrette wysłano tam okręt wojenny.

Wiedeń 17 grudnia. Wszystkie dzienniki, omawiając na naczelnem miejscu exposé hr. Gołuchowskiego, podnoszą nadzwyczajną doniosłość wywodów ministra. *N. Fr. Presse* nazywa część exposé, odnoszącą się do Rosyi i stosunków bałkańskich, dokumentem historycznym.

Wiedeń 17 grudnia. Cesarz przyjął dziś na ogólnych posłuchaniach między innymi Filipa Zaleskiego, generała broni Ferdynanda Fiedlera, b prezydenta apelacyi w Krakowie Czyszczana i nowego prezydenta tejże apelacyi Witołda Hausnera.

Marsylia 17 grudnia. Jak obecnie stwierdzono, podczas wczorajszego wybuchu na włoskim okręcie St. Leonardo i pożaru utracił życie komendant okrętu, dwóch kapitanów i 7 marynarzy, oraz — 1 osoba prywatna. Okręt i towary nie były ubezpieczone.

Rzym 17 grudnia. W Izbie deputowanych oświadczył minister spraw zagranicznych. Tittoni, że co do traktatu handlowego z Austro-Węgrami zachodzą trudności wskutek realnych stosunków, lecz po obu stronach jest dobra wola i można mieć nadzieję pomyślnego wyniku.

Wiedeń 17 grudnia. Cesarz przeniósł austro-węgierskiego ambasadora w Madrycie hr. Wiktora Dubsky'ego na własne żądanie w stan stałego spoczynku z wyrażeniem mu uznania za wieloletnią służbę i zamianował w jego miejsce ambasadorem w Madrycie hr. Rudolfa Welsersheimba.

Marsylia 17 grudnia. Pożar na okręcie St. Leonardo ugaszono. Ładunek kalcium karbidu utonął, zanim mogła nastąpić eksplozya.

Budapeszt 17 grudnia. Wszystkie pisma tutejsze przypisują exposé hr. Gołuchowskiego bardzo wielkie znaczenie i podnoszą, że exposé przyjęte zostało powszechnem zadowoleniem i że zasady polityki, nakreślone przez hr. Gołuchowskiego, także spotkały się z powszechnem uznaniem.

Pester Lloyd pisze, że hr. Gołuchowski także w tem exposé dał dowód, iż jest wybitnym i wielkim mężem stanu. Dziennik ten podnosi nadzwyczajną szczerość i prawdziwość znamionujące exposé i stanowiące cechę całego postępowania i polityki hr. Gołuchowskiego.

Alkotmani, organ katolickiej paryi ludowej, wyraża również zadowolenie z exposé, któremu przypisuje wielkie znaczenie, nie zgadza się jednak z ustępem o prawie „veta“ przy wyborze papieża.

HOTEL GEORGE'A.

Przyjechali dnia 17 grudnia. Hr. A. Potocki z Rosyi. Hr. K. Dzieduszycki z Martynowa. Hr. H. Szeliski z Kozowy. L. Nitsch z Krakowa. W. i A. Garapichowie z Zagórza. L. Innerwach z Wrocławia. Z. Rosenzweig z Wieliczki. T. Korsak, hr. Z. Tarnowski i L. Mężeńska z Rosyi. J. Mittler, H. Liwoca i A. Lobkowitz z Wiednia. Dr. H. Falk ze Stanisławowa. J. Lyssy i M. Weinfeld z Budapesztu. J. Łebkowski z Sambora. Hr. M. Dzieduszycki z Tłumacza. W. Biechoński z Umieszcza. J. Przeździecki z Zakopanego. K. Jodko z Podola.

HOTEL FRANCUSKI.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 17 grudnia. A. Prażmowski i J. Simche z Krakowa. J. Biskupski z Tarnopola. J. Kozower z Czortkowa. L. Aron z Niepołukowiec. N. Jaschke, B. Fried i L. Gutmann z Wiednia. B. Strawiński z Mizborów. S. Kossowski z Horodkowa. M. Rosenstok ze Skałatu. W. Pilczak z Rzeszowa. E. Nebel z Warszawy. W. Rokossowski i M. Orzechowski z Rosyi. K. Madeyski z Łańcuta. M. Cieński z Komarowa. N. Krajewska z Remenowa. H. Sawcsyński z Bełza. J. Krukowie z Krakowca. S. Smolka z Janowa. A. hr. Spanocchi z Żółkwi.

HOTEL EUROPEJSKI.

Przyjechali dnia 17 grudnia. Hr. K. Wielopolski z Podwołoczysk. Eksc. br. Merta z Worochty. J. Lityński z Korzenic. M. Malczewski ze Schodnicy. B. Śmiałowski ze Stojaniec. Z. Horodyński ze Zbignowa. X. Pawłowski z Krakowa. M. Hausner z Ołomuńca. J. Pieniążek Lipinek. O. Sala z Wysocka. Dr. Raczyński z Nossowa. X. Pastor z Radymna. W. Willi z Berna.

Wiedeń 17 grudnia. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kred. z obl. pr. z r. 1890 3% 292.—
" " " " z r. 1889 3% 000.00
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m. k. 4% 288.00
Uregulow. Dunaju z r. 1880 100 zł. 5% 279.—
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł. 4% 267.00
Pożyczka serbska prem. po 100 frank. 2% 93.—

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 19.15. Zakładu kred. dla handl. i przem. po 100 zł. 475.00, Clary 40 zł. m. k. 172.00, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 82.00, Losy m. Krakowa 20 zł. 82.—, Pożyczka m. Lublany 20 zł. 70.00, Ofen 40 zł. 168.00, Palffy 40 zł. m. k. 167.00. Czerwonego krzyża austryackie 10 zł. 53.50, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 26.75, Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 66.00, Salma 40.00 m. k. 231.00, Pożyczka salcburska 20 zł. 78.00 zł. Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 250.00, Tureckie obl. prem. kolej. po 400 frank. 141.25, Losy komuualne m. Wiednia z r. 1874 500.00.

Berlin 17 grudnia. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·30. Spirytus 00·00.

Paryż 17 grudnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 97·92. Mąka („Fleur de Paris“) 28·15.

Frankfurt 17 grudnia. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 217·15. Koleje państwowe 000.00 exclusive kupon. Alpiny 199·50. Disconto 000·00. Laura 000·00.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 17 grudnia.

Marki 117.23, renta majowa 100.65, węgierska renta koronowa 99 05, akcye: austr. zakł. kredyt. 689.25, węg. zakł. kred. 779·50, anglobanku 284.00, unionbanku 542.00, bankvereinu 528.50, länderbanku 444.50, kolei państw. 681.50, lombardy 89·00, akcye kolei Elbethal 000.00, fabryki broni 440·00, tytoniowe 000·00, alpiny 411.50, Rima Muranyi 503·00, prag. Tow. żel. 000.00, losy tureckie 141.75, ruble 252.75. Usposobienie: spokojne.

Lwów 17 grudnia. (Z izby handlowej)

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 576.— do 586.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 535·00 do 545·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 820 do 850·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 000·— do 260·—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·50 do 000.00. 4 i pół proc los w 50 lat 101.20 do 101·90, 4 proc. los w 60 lat 98.10 do 00·00 Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.80 do 102·50. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 98·85 do 99.55 Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 98.90 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 98·90 do —·—, 4 proc. los w 56 lat 98·60 do 99·30.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc 99.70—100.40. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 108.00 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II em.) 101.90 do 000.00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 98.75 do 99.45 Pożyczki kraj. z roku 1878 4½ proc, —.— do —.—. 4 proc. z 1898 r. 99.55—100.25, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 97.20 do 00.00, 4½% po 200 koron 101.50 do 000.00.

Monety. Dukat cesarski 11.28—11.45. Napoleondor 19.00 do 19.20. Sto rubli papierowych 252.00—254.50. Sto marek 117.00 do 117.60.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go października 1903 według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***, 6.10, 8.55, 5.50, 9.50*
Z Rzeszowa: 10.25.
Z Podwołoczysk: (na dworzec główny): **2.30**, 7.55, 5.30 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.35, 5.06, 10.02*.
Z Tarnopola: 8.30* (na dw. gł.) 8.09* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12.20***, **1.40**, 6.20, 5.40, 9.20*.
Ze Stanisławowa: 11.15, **8.10**.
Ze Stryja: 7.45, 9.57, 1.10, 4.35, 10.40*.
Z Rawy i Sokala: 6.50, 5.55.
Z Janowa: 7.40, 1.25.
Z Sambora: 7·35, 10·00*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, **8.25**, **2.50**, 4.10*, 8.35, 6.15*, 10.55*
Do Rzeszowa: 3.25.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1.50**, 6.30, 9.—*, 11.—*; z Podzamcza: **2.04**, 6.48, 9.20*, 11.24.
Do Tarnopola: 10.40 z dw. głównego, 10.57 z Podzamcza
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.40**, 6.22, 10.35, 10.42*.
Do Stanisławowa: 6.05*.
Do Stryja: 6.45, 9.05, 3.05, 6.40*, 11.05*.
Do Rawy i Sokala: 9.40, 7.05*.
Do Janowa: 9.15. 6·30*
Do Sambora: 9·25, 3·40.
Do Żółkwi: 11·11* (tylko w niedziele).

Uwaga. Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

16)

Z życia kobiety.

(Z francuskiego.)

(Ciąg dalszy).

Akcent, z jakim wypowiedział powyższe wyrazy, wywarł nadzwyczajne wrażenie na młodej kobiecie. Nagle wyrzuty sumienia, których wzywała napróżno od chwili, gdy dała się opanować występnej miłości, przeszyły jej serce jak strzała. Przez kilka sekund doznała uczucia strasznego poniżenia, a oburzenie przeciwko samej sobie napełniło jej duszę. W tej chwili zdrada mężowska i jej własna przybrały inne w jej myśli rozmiary. Po raz pierwszy przeczuła, że jemu mogłaby przebaczyć, kiedy tymczasem sobie nie przebaczy nigdy.

Pomimo to ogarnęła ją nieprzezwyciężona pokusa wyzywać go i podniecić, wypowiadając przed nim rzecz, którą wyznać jest niepodobieństwem.

— A więc — rzekła chłodno z jakiemś dziwnem uczuciem przyjemności, na której składały się rozpacz i trwoga — sprawiłoby ci to wielkie zmartwienie, gdybyś się dowiedział, że... że mam kochanka?...

Roger zbladł, usłyszawszy ostatnie wyrazy, ale odrzekł spokojnie:

— Strzeż się, Simono. Od jakiegoś czasu wyrażasz się w dziwny sposób! Są przypuszczenia, których uczciwa kobieta nie powinna czynić, ani poddawać ich mężowi...

Zatrzymał się, przysunął się bliżej i przez chwilę spoglądał na nią, a spojrzenie jego coraz bardziej stawało się łagodnem.

— Dlaczego żądasz — zaczął — abym wyobraził sobie rzecz taką, jakiej mój umysł pojąć nie chce? Ty, Simono!... Ty... mieć kochanka! Ależ ja nigdybym w to nie uwierzył, tak samo, jak nie uwierzyłbym czemuś podobnemu co do naszej drogiej, małej Paulinki!

Postąpił jeszcze bliżej ku Simonie i pochylając się nieco, spojrzał jej tkliwie w oczy. Teraz zaczął rozumieć, że łzy i gniew Simony były objawem czegoś innego, nie zaś przystępem złego humoru. Przeczuwał jakąś tęsknotę duszy, wobec której własne jego rozdrażnienie nerwowe malało i nikło, aby ustąpić miejsca troskliwości, połączonej z pewną obawą. Ogarnęło go uczucie, że i on także zawinił względem niej. Nie winą niewierności bynajmniej, gdyż Simona tak wyłącznie zajmowała jego serce, że nie zdawał sobie sprawy z tego, aby jej odebrał choć maleńką cząsteczkę uczucia, lecz ileż razy zawinił względem niej szorstkością swego charakteru, ironicznem i cierpkiem nieraz obejściem, tem rozdrażnieniem, jakiem podlega artysta, niezadowolony ze swej twórczości, tą niechęcią człowieka pracy, który zamyka samolubnie w duszy myśli i uczucia wtedy, gdy młoda i zakochana żona oczekuje od niego czułych słów, pieszczot i rozmowy. Wszystko to jak błyskawica przebiegło mu przez głowę. Położył rękę na miękkiej, jasnowłosej główce Simony i rzekł zmienionym głosem, w którym chęć obrócenia wszystkiego w żart uwydatniała jeszcze bardziej wzruszenie, do jakiego nie chciał się przyznać.

— Niedobra żoneczko, która nie umiesz być pobłażliwą dla twego niedźwiadka męża i grozisz mu zdradą dlatego, że on umie tylko bazgrać nuty, a jest tak niezręczny, że nie potrafi okazać ci, jak bardzo cię kocha!

— Ty mnie kochasz?... — podchwyciła Simona. — O! dajże pokój!...

— Czyż możesz o tem wątpić? — odparł z powagą.

Te wyrazy wypowiedziane były z prostotą i pozbawione wszelkich kwiecistych omówień miłosnych, któremi z taką łatwością posługiwał się pan d'Espayrac. Dlaczegóż więc Simona słuchając ich, uwierzyła w nie bardziej, niż wierzyła wczoraj namiętnym zapewnieniom Jana?

— Jak ja mogłem wątpić o tem? — powtórzyła sobie w duchu.

Ale nagle przed oczyma jej wyobraźni przesunęła się postać Rogera, wychodzącego z teatru z rudowłosą aktorką, z Netty Dawidson (wiedziała już teraz jej nazwisko, Jan jej o tem powiedział), a wspomnienie to obudziło w niej wszystkie podejrzenia, zazdrości i gniewy.

— Nie! — zawołała — nie, nie wierzę ci już teraz. Szczęście nasze rozwiało się, a miłość zamarła. I ty sam zniweczyłeś to wszystko dobrowolnie. Oszukałeś mnie, wiem o tem.

— Ja oszukałem cię? — powtórzył Roger. Szalona jesteś! Gdzie? Kiedy? I z kim?

Dziwne uczucia przesuwały się w głębi serc obojga, dziwne, ale najzupełniej usprawiedliwione, wychodząc z psychologicznego punktu zapatrywania się na ludzi. Roger i Simona tak wzajemnie wypełniali swoje myśli, a dziewięcioletnie serdeczne pożycie połączyło ich tak subtelnemi i nierozerwalnemi węzłami, że wszystkie fakta, nieodnoszące się wprost do nich, miały w ich oczach bardzo małe znaczenie. To też czynili to w dobrej wierze, gdy każde z nich wykreślało z pamięci, odnośnie do siebie, swoją własną zdradę. Roger Mervil, chociaż był mężczyzną, żywiej jednak odczuwał swoje przewinienia. Gdy żona powiedziała mu z głębokiem przekonaniem:

— Zdradziłeś mnie, wiem o tem!

Roger powiedział sobie w duchu:

— To ta niegodziwa Netty z pewnością!... Niech ją dyabli porwą!...

Ale Simona oskarżała męża z tem samem namiętnem uniesieniem i szczerem uczuciem bólu, jak to czyniła przed sześciu tygodniami, kiedy jeszcze nie myślała o odwecie.

— Powiedzże mi, dla kogo ja się zdradziłem i jakim sposobem możesz być tego pewna? — podjął znowu Mervil. — Ciekaw jestem wiedzieć, co twoja wyobraźnia...

— Bynajmniej nie moja wyobraźnia — przerwała mu Simona. — Ja... cię... widziałam...

— Ale kiedy?... Gdzie?... — pytał Roger, zmuszając się do żartobliwego nastroju. Chciał, szydząc z zazdrości Simony, dowiedzieć się od niej czegoś więcej.

— Dla ciebie — mówił dalej — wystarczające jest, abyś mnie widziała zamieniającego słów kilka z kobietą...

A gdy Simona milczała, zaczepił z lekka o prawdę, aby jej nadać pozór niewinności.

— Być może, że mnie widziałaś wychodzącego z teatru z aktorką... może nawet odprowadzałem ją kawałek drogi... To mi się zdarza niekiedy... Jeżeli to nazywasz dowodem?...

Simona potrząsała głową i, wzruszając z lekka ramionami, spoglądała na męża z wyrzutem, ale nie odzywała się już ani słówka. Niepojęta jakaś siła powstrzymywała na jej ustach oskarżenie, którem pragnęła potępić męża; była chwila, że chciała mu wypowiedzieć nazwisko kobiety, datę dnia i kłamliwy telegram, jaki jej przysłał, a potem historyę obiadu z dyrektorem, którego wcale tego dnia nie widział. Lecz powstrzymała ją nieokreślona obawa, aby pomiędzy nią a mężem, którego, bądź co bądź, kochać nie przestała, nie wzniosła się nieprzezwyciężona przeszkoda, jaką bywa niekiedy słowo, którego zapomnieć nie można. Coby on odpowiedział gdyby żona wymówiła imię Netty Dawidson? Może uniósłby się gniewem, a to byłoby rzeczą straszną, gdyż ona sama oburzyłaby się wtedy. A może odpowiedziałby jej kłamstwem, a to byłoby rzeczą jeszcze gorszą, lub wyznaniem, o! wyznaniem... Co za męczarnia, gdyby zmuszona była usłyszeć podobne wyznanie z ust Rogera!

Simona milczała więc, kierując się tym cudownym taktem kobiety, która nie chce, aby jej tkliwość wygasła zupełnie. Mervil zaś odszedł do tego przekonania, że żona wiedziała coś o jego awanturce, ale nie miała jednak żadnej pewności, i że wszystko może być jeszcze ocalone. Przekonanie to sprawiło mu wielką ulgę, gdyż cała ta rozmowa nabawiła go ogromnego niepokoju. Zmartwić Simonę, zrazić do siebie serce, w którem panował wszechwładnie od lat tylu... I to dla kogo?... Dla kilku godzin spędzonych w towarzystwie Netty Dawidson! Myśl ta doprowadzała go do takiej rozpaczy, jakąby uczuwał człowiek, któryby przez roztargnienie spalił bilet loteryjny, a dowiedział się następnie, że bilet ten wygrał i że on tym sposobem może stracić majątek.

— Ach, Simono — mówił do niej po chwili z akcentem szczerości, — wiedz o tem, bądź tego pewna, że pomimo pozorów, a powiem nawet i przewinień, nie oszukuje się takiej żony, jak ty. Widzisz, oddać innej to, co ciebie należy w mojem sercu, byłoby niepodobieństwem, dlatego że ty stwarzasz w niem te uczucia. Czułość, zaufanie, wierność, serdeczna zażyłość, możliwość szczęścia, te rzeczy nie są to wyrazy, albo pojęcia, któreby w moich oczach miały istnienie odrębne, nieodnoszące się do ciebie, i których mógłbym szukać obok innej kobiety.

(Ciąg dalszy nastąpi).

†

Feliks Majeranowski

doktor praw, adwokat krajowy

po długich i ciężkich cierpieniach, zmarł dnia 15 grudnia 1903 r. w 38 roku życia.

W głębokim żalu pogrążona siostra zaprasza krewnych i przyjaciół na obrzęd pogrzebowy, który się odbędzie w piątek dnia 18 grudnia 1903 r., o godzinie 3 ciej po południu z dworca kolejowego na cmentarz w **Stanisławowie.**

Lwów, dnia 16 grudnia 1903.

„CONCORDIA“ A. Kurkowski ul. Sobieskiego l. 10.

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza